

BIBLIOTEKA
WARSZAWY
W GOSKACH

Uniwersytetu Gdańskiego
Biblioteka

9013

Cena 1 20

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 17 października 1948 r.

Nr 42 (151)

TRESC NUMERU: B. Kabala — Potrzeby szkolnictwa; W kraju i W świecie; A. Trepieński — Książka w upominku; M. J. Kononowicz — Judaszowa Noc; Ks. H. Weryński — List otwarty; A. Hutnikiewicz — Kroniki Assyżu; Tydzień kulturalny; F. M. Nowowiejski — Korespondencja z Poznania; M. Markowski — Wędrowki po scenach polskich; W. Pietrzak (Baik) — Lot Jaskółek; Czytelnik uważa, że...; Film.

Jan Dobraczyński

W MILECIE*)

Następnego dnia dopłynęli do Chios, trzeciego do Samos wreszcie czwartego dnia zawinęli do portu w Milecie. Miasto piętrzące się domami na zboczu, witało ich słońcem i zielenią, wspaniała świątynia Apollina Dydymejskiego, zbudowana tuż nad brzegiem, wydawała się cudownym związkiem, dziesięciu smukłych, jońskich kolumn, nad którą unosił się gładki architrav i delikatny tympanon. Niebo znowu zachmurzyło się i wiatr północny dał z większą gwałtownością — tak, że — jakby spełniając życzenie Pawła, musieli się tu zatrzymać na dwa dni. Posłano człowieka do Efezu i już na drugi dzień przybyli „hakamim“ tamtejszego kościoła a także Apollonios, który, powróciwszy z Acha, nauczał znowu w Efezie. Przybyli witali serdecznie Pawła, on zaś wzruszył się, znał bowiem dobrze wszystkich z kilkuletniego pobytu w Efezie i wiedział, że stanowią gminę mocną i rozwijającą się. Zwłaszcza uściślał i ucałował gorąco Tyranoza, nauczyciela wypraw, w którego domu, w czasie pobytu w Efezie, mieszkał i nauczał. Dzień skłaniał się już ku zachodowi a ponieważ wieczorem miano odpłynąć, nie wiele było czasu na rozmowę. Wynajęto izbę w gospodzie i przygotowano posiłek. Zanim jednak poczęto jeść Paweł łamał chleb, oni zaś w pokorze i na kolanach brali z jego rąk święte cząstki. Potem wszyscy usiedli do jedzenia. Podczas wieszki Paweł poprosił aby mu opowiedziano o życiu i trudnościach kościoła. Mówili kolejno. Niepokój wywołany przed rokiem przez Demetriusza i innych handlarzy kultu wielopiersnej Diany, już ucichł. Ta rzecz była ważna i nie miała żadnych następstw. Gorzej nieco wyglądała sprawa Apolloniosa, którego aż uprosili, aby po raz drugi przyjechał do nich, do Efezu, dawna bowiem jego nauka, oparta o naukę Chrzciciela, wywoływała nadal zamieszanie i niepokój. Był nawet taki moment, że wyznawcy pochodzący z Żydów poczęli opowiadać, że Apollo ma słusność zaś nauczanie Pawła jest błędne, czemu się znowu przeciwstawili Grecy i Syryjczycy. Ale i ten rozdzźwięk już został zgaszony, bowiem Apollo przyjechałszy po raz drugi, stanowczo stwierdził, że nauka Pawła jest prawdziwą, a on jeśli kiedyś mówił coś innego niż Paweł, to się mylił. Załatwiona także została sprawa zabobonów i ksiąg z wiedzą tajemną, które nie tylko raz zostały

w kole wyznawców spalane, ale palone są przez wszystkich, którzy do chrztu przystępują. Kapłan Scewa i jego synowie odeszli od synagogi, stali się „nazarejczykami“ czy jak to obecnie częściej, na wzór Antiochii, mówiono „chrześcijanami“. Ale — tu opowiadający właśnie o tych sprawach Pawłowi Sarapion lekko chrząknął, po czym spuścił wzrok i począł palcem pisać klepotliwie po stole — wierni znowu powrócili do przekonania, że nadeszcie Pańskie jest bliskie. Są znaki wieszczące nadchodzący koniec: było duże trzęsienie ziemi w Lidii, pewnej kobiecie urodziły się bliźnięta, zrosnięte ze sobą, wódz rzymski Corbulo spalił okrutnie Artaxate; mówili ci, co przybyli z Jerozolimy, że świat, że krowa, prowadzona przez kapłana do uboju, nagle, w srodku świątyni porodziła jagnię... A znowu w Rzymie uschło na forum Ruminałskie drzewo — pod którym jakoby wychowali się Remus i Regulus. Wszyscy są więc przekonani, że mąż zepsucia, antychryst już się narodził, a nawet doszedł wieku dojrzałego. Wszak nie wielu żyje z Jego najbliższych uczniów. Koniec się zbliża niewątpliwie. Jedni go oczekują z radością, drudzy z lękiem. Lecz tylko o tym prorokują. Wiele zrzeczeń pracy „metochol“ porozwijały się, bo i po co troszczyć się o życie, gdy Pan blisko...

Paweł słuchał uważnie. Czuł się znowu gorzej, musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby przemóc chorobę i słabość. Splótł dłonie i zaciskał palce, aż do bólu. Mrugał powiekami. Wydawał się w tej chwili brzydszy niż kiedykolwiek ze swoją małą twarzą pomarszczoną i ściągniętą, podobną do zwiądnętego jabłka.

— A co wy myślicie? — pytał. Sarapion rozłożył ręce.

— Wszak i ty wiesz, Pawle, że Pan powiedział: nie przeminie to pokolenie... Wiem — pośpieszył zaraz dodać — że ma wprawdzie przyjść mąż grzechu. Lecz powiedz czy nie mógł już przyjść? Spójrz ile zepsucia, przekupstwa, rozpusty. Matki zabijają swe dzieci, zanim te się na rodzą. Mężczyźni żyją z mężczyznami a kobiety z kobietami. Obrzydliwe obrzędy przyszły do nas... A władze jakie są okrutne. Cisną nas podatkami, okradają nas... Młody czar podobno żyje rozpustnie... Czy może być jeszcze gorzej?

Urwał i patrzył śmiejąc w twarz Pawła, rzuciwszy przed nim tyle argumentów. Apostoł milczał, jego wzrok zamglony cierpieniem wędrował po twarzach przybyłych. Oni zaś kiwali głowami.

— Nauka Jezusa — powiedział Aristoxenos — musi się spełnić w tym, albo w przyszłym roku...

— Pan nie zostawi nas długo samych! — wykrzyknął inny ze starszych efeskich.

— Pan przyjdzie... To wszyscy czują... Nawet poganie spodziewają się spełnienia czasów. Także Żydzi, którzy nie uwierzyli w Jezusa, mówią, że już się narodził człowiek, który podbije dla nich świat...

Paweł cicho westchnął. Gdziekolwiek przyszedł, wszędzie go tym witano, świat się kończy. Pan nadchodzi, nauka musi się spełnić. „Bo jeśli się nie spełni — powiedział mu niedawno pewien Grek w Koryncie — to znaczy, że nie jest Prawdą... „Apostoł odpowiedział wówczas surowo tamtemu. Ale sam często myślał nad tym: czy długo trzeba będzie czekać? Dawniej spodziewał się, że niedługo. Spieszył się więc, poganiany przekonaniem, że musi ochrzcić wielu zanim Pan powróci. Ale kiedy przychodził po raz drugi do miejsc, w których przed rokiem czy dwoma nauczał, gdy odkrywał, że gminy ochrzczonych nie zawsze są gminami prawdziwych świętych, ale już w swym zapale ostygły, budzić się w nim poczęło wątpienie. Nie w Prawdę! W nią wątpić nie mógł, był bowiem tym, który widział oczyma ciała i słyszał uszyna ciała, zaś na rękach i nogach nosił znak potwierdzający. Ale zwątpił w moc przeczuć ludzkich. Człowiek tkwi mocno w ziemskiej glinie. Widzi i słyszy często to, co chce widzieć i słyszeć. Głos Pański wintem mówić w pustce oczyszczonego serca a ile jest serc oczyszczonych? Królestwo Jezusowe nie nadejdzie w błyskawicach oczywistości. Nie zaświadczy o nim ziemski triumf. Będzie się spełniać w ludziach i w ludziach będzie upadać. Będzie zawsze i jednocześnie — triumfem i upadkiem. Będzie dla człowieka zawsze: próbą i doświadczeniem. Nie wybuchnie. Będzie rosło cicho i niepostrzeżenie — jak trawa. Dozna deszczów, burz i skwałów. Cały świat o nim usłyszy — lecz nie cały świat je przyjmie. Zawsze wilcy będą wchodzić między owce i wywracali dzieła Pańskie. I to będzie trwało długo. I choć to będą czasy nieustannego cudu — będą tacy, co zwątpią...

Lat całych trzeba było by ta myśl w nim dojrzała. Nie łatwo było wyrwać się z kręgu marzeń mesjańskich. Ież to już wymagało trudnego przyjęcia, że Mesjasz jest Panem serc ludzkich. Pozostawała wiara, że Oni poprzez serca — zdobędzie świat — i zapanuje nad nim, chociaż sam nie

Zaczynam się i kończę...

Janowi Parandowskiemu

Zaczynam się i kończę śpiewem,
śpiewem dlatego — iżby
na prawo i na lewo
ścieżka się wykrajala śród ciżby.
Krok w prawo i słowo się rozpierzcha
światłością, zmierzchem;
krok w lewo — i inne słowo
smugą mży kolorową.

Tam matka dziecko karci;
idą o siebie wsparci
kochankowie związani przysięgą;
bydło pędzą na rzeź;
ptactwo kwokcze w klatkach; gęś gęga;
samochody — raz dwa, cztery, sześć,
klaksony, trąbki... Pogoda, ulewa.
A ja idę i śpiewam.

Jak inaczej torować drogę?
Inni potrafią, ja — nie mogę.
Wspominam i skaldów nieśmiertelne awantury,
i to groźne to słodkie pienia trubadurów;
a gdy na burzę się zbiera,
wspominam nawet Homera.
Któż to był? Czy z nieba spadł?
Po prostu — wędrowny dziad,
który żył w okresie wojen:
koło niego człowiek człowieka zabijał,
a on ich ze śpiewem mijał.

Jak inaczej wykrajac wąski szlak dla życia?
Jeśli to wam przeszkadza — zabijcie!

Kazimiera Hlakowiczówna

widoczny. Ale i tego trzeba się było wyrzec. Walka o świat — sądził teraz Paweł — nie zostanie nigdy zakończona. Będzie trwała do ostatniego dnia. Będzie zmaganiem się do ostatniego tchu. Będzie walką nie tylko ze światem, który nie słyszał o Jezusie, który nie chce słyszeć o Jezusie, ale i ze światem, który o Jezusie usłyszał i który Go przyjął — lecz tylko bezdusznym: „Panie! Panie!“

Dał znak ręką, że chce mówić, a oni zamilkli i utkwili w nim uważny wzrok. Zrobiła się cisza, w której słychać było prędkie oddechy ludzi — a zza okna — nawoływanie sprzedawców fig i daktyli. Słońce zachodu leżało płamą na stole, na którym jedli. Wydawało się resztką rozlanego wina, niestartego i niewsiąkniętego w deski. Paweł z wolna rozwinął dłoń, podniósł ramiona. Ludzie patrzyli z cziłą na obowiązane płacami przeguby, bo choć się z tym krył, wieść o tajemniczych ranach rozeszła się już szeroko, a tu, w Azji wiedzieli o nich prawie wszyscy.

— Synkowie — powiedział — czemu się kłopotacie? Czy Pan nie zgał starszej siostry Łazarza, gdy

się kłopotala? Czy nie kazał bym nam już świętymi, a nie czekać drugi raz przyjdzie? Takżeście się już spracowali? Ganię was powinnem. Ale mi was żal. I nie chcę by zostało między nami słowo twarde, gdy rozstajemy się i już się nie zobaczymy...

Przerwały mu okrzyki: — Co ty mówisz, Pawle? Nie zobaczymy? Dlaczego? Co ty mówisz? Wołali tak nie tylko ludzie z Efezu, ale także towarzysze podróży Pawła. Patrzyli na niego ze zdumieniem i niepokojem. Bali się o niego choć widzieli go wychodzącego obronną ręką z tyłu przygod. Tymoteusz nie mógł zapomnieć jak nocą — był wtedy jeszcze chłopcem — razem z Barnabą i innymi znaleźli na drodze między Lystrą a Derbe Pawła przywalonego kamieniami, okrwawionego. A przecież ocałony — następnego już dnia — powędrował do Derbe. Także Łukasz nie mógł zapomnieć jak z tym słabym, schorowanym człowiekiem rozbiwszy się przed paru laty na morzu między Kerpe a Rodosem, spędzili na falach całą noc i cały dzień uczeni małego odłamka statku — i to nie op wtedy ratował Pawła, ale to Paweł

*) Fragment powieści „Święty miecz“, stanowiącej drugą część „Wybrańców gwiazd“.

Dni. 90102

zmuszał go do wytrwania. Lecz tym razem niepokój przemógł nad wspomnieniami. I oni pytali:

— Co ty mówisz? Dlaczego nie miałbyś przybyć do Efezu?

Paweł uśmiechał się, lecz łączył w oczach. Jego wargi drżały a głos — i tak zwykle pełen zahaczeń i zakłameń — stał się jeszcze bardziej niepewny. Musiał być wzruszony. Słowa zamierały mu w gardle. Dyszał ciężko przez chwilę zanim wreszcie powiedział:

— Nie zobaczę już was...

— Więc nie jedź do Jeruzolimy! — krzyknął jeden z obecnych. A zaraz po nim powtórzyło wiele głosów: — Nie jedź do Jeruzolimy! — Usłyszał także głos Łukasza: — Pawle, nie jedź do Jeruzolimy!

Pokręcił głową.

— Popłynę do Jeruzolimy... Nie odwódcie mnie... Trzeba mi iść. Duch Boży mówi abym szedł... Nie odwódcie... Wiem, że mnie tam czekają więzy...

Ktoś nagle w głębi izby zapłakał. Głosy zrywały się coraz żałośniejsze w tonie: — Więc nie idź! Nie zostawiaj nas! Pawle! Co będziemy robili bez ciebie w tych czasach ciężkich? Pawle! — Teraz już kilku ludzi krążyło. Inni cisnęli się do apostoła, wyciągali do niego ręce, chwytali go za chiton. — Nie idź! — On zaś gdy znowu przemógł omdlałość głosu, powtórzył:

— Nie odwódcie... Nie zostajecie sanymi... Pan jest zawsze z wami i będzie do końca... Nie odwódcie... Tylko czuwajcie... Bo czas czekania może być długi... bardzo długi... i wilej przyjdą... i zdrady... więc czuwajcie...

Plakali wszyscy. Pawłowi głos się załamał od łez. Wyciągnął ramiona do otaczających go ludzi, a oni obejmowali go kolejno wśród lamentu. Efez — to było najukochańsze, najwierniejsze, najbardziej jego miasto. Znał jego wszystkie słabości i cnoty. Znał ludzi tutejszych doskonale. Tyle imion pamiętał, tyle twarzy. Tyle tam dni przeżył, tyle razy mówił, tyle łokci „cylicji“ utkał. Nagle — wśród zamętu i płaczu rozległ się głos Tymoteusza.

— Pawle — czas już iść...

Po tych słowach płaczbuchnął jeszcze większy. Rzucano się Pawłowi na szyję, całowano go, on zaś odpowiadał uściskami i płakał jak dziecko. Potem podniósł rękę — a gdy oni od niego odstąpili — ukląkł i zaczął się głośno modlić. Pełne podziwu słowa pieśni trzech towarzyszy Daniela padały z jego drżących warg:

Błogosławiony jesteś, Panie ojców naszych,
Chwalebny i wywyższony na wieki.
I błogosławione przenajświętsze

Imię Twoje
Chwalebne i wywyższone na wieki...

Skończył — a płacz wybuchnął z nową siłą. Znowu cisnęli się do niego, znowu czepiali się rąk, chitona i piaszcza, zawadzili jak zawodzą płaczką nad lożem zmarłego. I tak wyszli płacząc i tak szli przez ulice miasta, wśród ludzi, którzy spoglądali na nich ze zdumieniem i z drwinami. Minęli domy i stanęli nad brzegiem morza. Czerwone słońce leżało nisko, plawiąc się do połowy swego kregu w niespokojnym morzu, a jego krwawe promienie zdawały się toczyć po grzbietach sunących fal. Morze było czarne i groźne, ryczało głucho i biło wściekle o żwirowaty brzeg. Białe bryzgi wyskakiwały ponad sterceż w woździe kamienie i ponad burty okrętu, który szarpał się niespokojnie na kotwicach. Wiatr to się podrywał i dął ze świstem, to znowu milkł i ustawał. Świat był czarny, gniewny. W szumie i łoskotcie przelewających się fal ścichły płacz i narzekania. Ludzie zamilkli i tylko patrzyli przez żażony wzrokiem na wiaty okręcił na kipiącą wodę. A potem podno-

sili spojrzenia na Pawła, który stał nad samym brzegiem, że aż wpadające na łód morze rozbijało się u jego nóg — i mówili szeptem, trwożnie:

— Nie jedź... Patrz jakie morze... Nie jedź... Pawle... nie jedź...

— Nie odwódcie... — powtórzył raz jeszcze. Łódź, która miała ich dowieźć do okrętu, zaryła się dziobem w żwir. Dwaj półnady marynarze — czarnowłosi i oliwkowi,

może Syryjczycy, a może Sycylijczycy, wzywali gestami do pościpiechu. Paweł wstał do łodzi pierwszy. Obejrzał się zaraz i jeszcze raz obiegł spojrzeniem twarze pozostających. Żegnając ich, żegnał Efez — miasto zdobyte wśród największego wysiłku. Rozłożył dłonie. Przekrzykując huk morza, zawołał: — Żegnając i wybaczenie... — Widział, że płaczą, choć w grzmocie fal nie słyszał ich lamentu. Potrząsnął rękoma.

— Nie skrzywdziłem chyba nikogo z was... Srebra ani złota nie brałem... Dawalem co mogłem... — Wiosła zanurzyły się w morze. Odbili. Wał wodny uniósł ich zaraz w górę, cisnął w dół, a potem podbił dziób i wytrysnął fontanną, która ich wszystkich zmoczyła. Odpływający zbili się w ciasną gromadę wokół Pawła. Tamci na brzegu stali także stłoczeni, nagle mali — podobni stadu wystraszonych owiec w ob-

liczu burzy. Na czerwonym tle nieba łódź i siedzący w niej ludzie przemienili się od razu w czarną plamę. Pozostali na brzegu nie mogli już usłyszeć ostatnich słów Pawła, tych, które powiedział na końcu — ciszej już, mniej dla drugich, bardziej dla siebie:

— Bo powiedział mi Jezus: szczęśliwsza rzecz dawać... niżli brać...

Jan Dobraczyński

Bolesław Kabala

POTRZEBY SZKOLNICTWA

Długo jeszcze będziemy borykać się z trudnościami w życiu gospodarczym, politycznym, społecznym i kulturalnym. Od oświaty i wychowania zależeć będzie jednolitość społeczeństwa, od poziomu wykształcenia poziom kulturalny narodu. Zrozumiałe też jest, że każdy zastanawiający się obywatel myśli z troską o tym, czym będziemy w nadchodzącej przyszłości, co musimy pokonać przy dokonywanych przemianach społeczno-gospodarczych. W tych warunkach kształcenie i wychowanie młodzieży dawno przestało być tylko prywatną i wyłączną sprawą rodziców, a stało się zagadnieniem publicznym, społecznym.

Publiczny więc i społeczny interes winien przeważać w organizacji szkolnictwa; dlatego z troską dziś patrzmy na szkoły i młodzież do nich uczęszczającą.

Przejdźmy trochę w sposób retro spektywny poszczególne stopnie szkolnictwa podstawowego i średnie go.

Faktyczny stan szkolnictwa podstawowego (powszechnego) przedstawiał się w ubiegłym roku szkolnym 1947/48 w sposób następujący: ogółem tego typu szkół mieliśmy 21.777, w czym 57 prywatnych. Szkół o 1—2 nauczycielach, realizujących program w zakresie 4-ech klas (I i II jednoroczna, III — dwuletnia, IV — trzyletnia) mieliśmy 13.420. Szkół o 3—4 nauczycielach było 3.762 (z VI kl. dwuletnia i programem 6 klas). Szkół z pełnym programem, w których wszystkie klasy są jednoroczne mieliśmy 4.535, tj. 21%.

Do szkół o 1—2 nauczycielach, zwanymi dotychczas szkołami I stopnia, uczęszczało 945.116 dzieci, do II stopnia o 3—4 nauczycielach — 622.974 — razem 1.568.090 (46,5%), reszta tj. 1.804.634 (53,5%) korzystała ze szkoły pełnej. (v. „Szkolnictwo w r. szk. 1947/48 w liczbach tymczasowych“ — wyd. Min. Oświaty — 1948. Dane za rok 1946—47 znajdziemy na stronie 30 w III zeszyte wiadomości statystycznych z r. 1947).

Jeżeli zastanowimy się w jaki sposób były rozmieszczone szkoły podstawowe pod względem stopnia organizacyjnego pomiędzy wieś i miasto otrzymamy cyfry następujące.

W roku szkolnym 1946/47 mieliśmy szkół niepełnych na wsi 14.491 na ogólną liczbę 19.945, czyli 82%, zaś w roku 1947/48 — 15.756 przy ogólnej liczbie 19.485. W mieście zaś na 2.135 szkół było 2.019 pełnych, czyli 94,55%, zaś w roku 1947/48 — 2.150 przy ogólnej liczbie 2.235 szkół powszechnych w mieście.

Najlepiej zilustruje sytuację poniższa tabelka:

rok	teren	pełne szkoły w	niepełne %
46/7	miasto	94,55	5,45
	wieś	18,64	81,36
47/8	miasto	96,20	3,80
	wieś	19,14	80,86

Do szkół pełnych uczęszczało w r. szk. 46/7 zaledwie 42,39% młodzieży wiejskiej, choć stanowiła ona 71,17% młodzieży polskiej, natomiast młodzież miejska korzystała z przywileju uczęszczania do szkół pełnych 98,75%. Rok szkolny 47/8 przynosi jeszcze znacniejszą poprawę dla miasta bowiem 99,22% młodzieży miejskiej korzysta ze szkół pełnych, a młodzieży chłopskiej za ledwie 44,78%.

Dla wyczerpania zagadnienia zadajmy sobie jeszcze trud przestudium ilości uczniów publicznych szkół powszechnych wg liczby nauczycieli.

Z tablicy tej dowiadujemy się, że w szkołach o jednym nauczycielu mamy przytłaczającą większość młodzieży wiejskiej bo 99,73%, a w miarę wzrostu stopnia organizacyjnego szkoły spada ilość młodzieży chłopskiej, aby dojść w szkołach o 10 nauczycielach zaledwie do 34,27% (ogółem — 140.220, miasto 92.163, wieś — 48.057), o 11 nauczycielach tylko do 16,42% (847.397 — ogółem w czym miasto — 708.186, wieś — 139.211). W szkołach tych, jak widzimy ogromną przewagę ma młodzież miejska: przy 10-ciu nauczycielach jest jej 65,74% przy 11-tu — 83,58%.

Tak się przedstawia stan w szkolnictwie powszechnym. A żeby przyjąć się szkolnictwu średniemu weźmy do ręki wydane przez to samo źródło, tj. Ministerstwo Oświaty, na które powoływaliśmy się dotychczas, „Przyczynki statystyczne Nr 4“ — 1948 i zbadajmy cyfry.

Liczba uczniów w r. 46/7 wynosiła 225.285, z czego młodzieży miejskiej 203.444 (90,31%), a wiejskiej — 21.841 (9,69%). Część tej młodzieży wiejskiej mieszka w miejscowości szkolnej lub w jej pobliżu. Młodzieży dojeżdżającej jest zaledwie 8.470 czyli 3,31%.

W pierwszej klasie licealnej na ogólną liczbę 278 stypendystów mamy 17, tj. 6,11% dzieci pochodzenia wiejskiego, zaś miejskiego 261 czyli 93,89%. W 2-jej klasie licealnej na ogólną liczbę absolwentów stypendystów było 5 ze wsi — 2,49%, a reszta, tzn. 196 — 97,51% to młodzież wiejska.

W gimnazjach i liceach zawodowych prowadzonych przez Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Rolnictwa i R. R., Ministerstwo Przemysłu i Handlu oraz inne resorty państwo we kształciło się 128.168 młodzieży, z czego miejskiej 118.519 (92,48%) a wiejskiej 9.639 (7,52%) i znów tej, która dojeżdżała spoza miejscowości szkolnej było 2.725, czyli zaledwie 2,12%.

Wiemy, że istnieją bursy i internaty, przygarniające młodzież zdolną, rodziców niezamożnych. Przy gimnazjach i liceach zawodowych prowadzonych w ramach wydziałów resortów, mieliśmy 1068 internatów, z czego w miastach 922 (86,33%), na wsiach bądź prowincjonalnych miasteczkach 146 (13,67%).

Miejsca w tych internatach rozdzielone były w sposób bardzo zna-

mienny, bo 118.529 (92,48%) to młodzież wiejska, a 9.639 (7,52%) to młodzież wiejska.

Szkoły nauczycielskie i kursy przy gotowawce w IV kl. (semestrze) miały 695 stypendystów wyłącznie z miasta.

Szkoły i kursy dla nauczycieli szkół powszechnych w II kl. (semestrze) miały 695 stypendystów, w czym 660 z miasta, zaledwie 35 ze wsi.

Gimnazja zawodowe Min. Oświaty w IV klasie miały 395 stypendystów (390 — miasto, 5 — wieś); stypendiów do 1.000 zł było 75 — w czym 70 — miasto, 5 — wieś.

Gimnazja zawodowe w Ministerstwie Rolnictwa i R. R. w IV kl. miały 2 stypendia — obydwie otrzymała młodzież z miasta.

W III kl. gimnazjów zawodowych Ministerstwa Przemysłu i H. było 58 stypendiów, które przyznano młodzieży z miasta, w gimnazjach podległych innym resortom przyznano 13 stypendiów wyłącznie dla młodzieży z miasta. W liceach zawodowych Min. Oświaty na 129 stypendiów, zaledwie 2 były dla młodzieży ze wsi pochodzącej, a 127 dla miejskiej itd. We wszystkich wypadkach młodzież pochodzenia chłopskiego była uwzględniana jeszcze w stopniu co najmniej niedostatecznym.

Ujmijmy częściowo w tabelę to, cośmy dotychczas o szkolnictwie średnim powiedzieli:

rok 1946/7	miasto %	wieś %
ucz. śr. szk. ogkksz.	91,17	8,83
ucz. śr. szk. zawod.	92,48	7,52
internaty	86,33	13,67
młodzieży w internat.	92,48	7,52
stypendystów	91,54	9,46

Nie trzeba słów na uzasadnienie i wywołanie wrażenia, cyfry tej tabeli wołają same żywym językiem. Ludność wiejska ma szkołę powszechną niżej zorganizowaną, a nadto część zdolnej młodzieży, która mogłaby przejść jeszcze do szkolnictwa średniego ma na razie drogę do niego zamkniętą, z tytułu miejsca zamieszkania, odległego od punktu szkolnego o wiele kilometrów.

Ktoś nie znający bliżej wsi i młodzieży wiejskiej mógłby wysnuć wniosek, że młodzież wiejska niechętnie się uczy. Byłby to zgoła błędny wniosek, bowiem w pierwszym półroczu 1947 r. Wydział Oświaty i Kultury Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici“ przeprowadził 219 kursów sędziwych z 13.140 uczestnikami, 101 kursów powiatowych z udziałem 5.365 uczestników, 15 kursów wojewódzkich, w których uczestniczyło 820 młodzieży, 4 kursy centralne ze 184 uczestnikami. Łącznie na 345 kursach uczestniczyło 19.494 młodzieży chłopskiej.

Świadczy to o fakcie, że młodzież wiejska garnie się do nauki, pragnie się kształcić, brak jej tylko środków i funduszy. Grono ludzi, zdających sobie sprawę z niedomagań i niewystarczającej pomocy ze strony czynników oświatowych oraz mających za zadanie krzewienie kultury i sztuki resortów państwowych i zo-

sientowanych w trudnych warunkach materialnych młodzieży, złożyło w r. 1946 Towarzystwo Burs i Stypendiów.

Na I Wałnym Zjeździe Delegatów w 1947 r. dowiedzieliśmy się, że rachunek z działalności do bilansu na 31 grudnia 1946 r. wskazuje kwotę bilansową 5.473.528,45 zł. Z czego ta kwota się składa? Okazuje się, że Towarzystwo swój byt oparło przede wszystkim na ofiarności społecznej, która w zorganizowanym tygodniu TBS dała 3 miliony 536 tysięcy 176 zł docho-du. Subsydia zaś wszystkich władz państwowych wyniosły zaledwie 1.930.950 zł, podczas gdy na sam fundusz stypendialny użyto kwoty 3 miliony 100 tysięcy zł, a koszty organizacyjne, inwestycyjne (poważne w pierwszym okresie prac) administracyjne i amortyzacyjne wyniosły 539.569,80 zł. Towarzystwo w dalszej swojej działalności przewidywało budowę dwu burs w Warsza-wie — męskiej na Żoliborzu kosztem 21 milionów zł plus urządzenia 5 milionów zł, żeńskiej na Powiślu lub śródmieściu kosztem 11 milionów zł, i urządzenia 2 miliony zł ośrodk naturalnej akcji stypendialnej, bibliotecznej, świetlicy, samokształceniowej, których nie można zaniedbywać i odkładać na później.

Spojrzymy przez chwilę, na jakich funduszach Towarzystwo opiera swój byt w przyszłości. W budżecie administracyjno-organizacyjnym na r. 1947 zamykającym się sumą 17 milionów 930 tysięcy, znowu widzimy dochód ze zbiórki publicznej w kwocie 8 milionów zł, a więc znów bazowanie na ofiarności społecznej; pozostała kwota zostanie uzyskana z imprez własnych Towarzystwa. Z dotacji państwowych — zero.

W planie trzyletnim przy 44 milionach 452 tysiącach dotacje władz państwowych określane są na 3 miliony, a więc niemal zero.

Zestawiając to, cośmy powiedzieli przed chwilą z tym, co mówiło się o ilości stypendiów i udziale w nich młodzieży wiejskiej musimy dojść do przekonania, że państwo winno przyjąć z pomocą młodzieży niezamożnej, a zwłaszcza młodzieży wiejskiej ze znaczną pomocą niż to się dzieje dotychczas, jeżeli mamy stać się państwem o pełnym postępie zarówno kulturalnym, jak i gospodarczym przy przetwarzaniu państwa z charakteru rolniczego na przemysłowo-rolniczy.

Podniesienie stopnia organizacyjnego szkół powszechnych na wsi, budowa, przebudowa i decentralizacja szkolnictwa średniego z szerokim uwzględnieniem osiedli, małych miast i miasteczek i osiedli wiejskich wpłyną dopiero korzystnie na zmianę składu społecznego akademickiej młodzieży i szkół wyższych, co pociągnie za sobą dalej zmianę składu społecznego warstw pracujących w państwowych resortach oraz w innych zawodach z awansem społecznym warstw chłopskich i robotniczych.

Bolesław Kabala

W kraju

ZŁA SPRAWA

W Kamieńsku i Gorzkowicach, dwóch miejscowości powiatu piotrkowskiego tłum chłopów napadł na grupę bezbronných studentów uniwersytetów poznańskiego, krakowskiego, warszawskiego i toruńskiego, celem dokonania lynchu. Skończyło się — na szczęście! — jedynie na ciężkim w kilku wypadkach, lżejszym u reszty młodzieży, pobiciu studentów i studentek.

Bezpośrednim pretekstem napaści było inwentaryzowanie kościołów, dokonywane zgodnie z wieloletnią, jeszcze przedwojenną, praktyką obowiązującą na wydziałach architektury i historii sztuki, gdzie do obowiązków słuchaczy należy opisanie i zbadanie wartości artystycznych i architektonicznych wszelkiego rodzaju zabytków sztuki budowlanej. Studenci pracowali za pełną zgodą władz kościelnych i administracyjnych, za zgodą proboszcza w Gorzkowicach. I oto w trakcie ich pracy, ktoś (doniesienia prasowe wymieniają dwóch miejscowych handlarzy) puścił plotkę, iż oględziny kościołów dokonywane są celem przekazywania tych świątyń katolickim na inne, nie — religijne cele i że studenci należą do sekty „świadków Jehowy”. Rozpoczął się dzięki swym przebiegu lynch. Proboszcz w Gorzkowicach stanął (jak donosi sprawozdawca „Rzeczypospolitej” z dn. 5.X. 1948) na wysokości swego kapłańskiego obowiązku; bronił młodzieży przed tłumem, ukrył u siebie na plebanii dwie studentki, sam został poturbowany przez rozbawiony tłum.

Tyle — fakty. Informacje posiadane przez naszą redakcję (wśród pobitych studentek znalazła się żona jednego z pisarzy z nami współpracujących) — zgodne są z relacjami całej prasy. Złą przysługę oddają sprawie publicznej ci wszyscy, którzy w doniesieniach prasowych upatrują tym razem jedynie owoc propagandy. Niestety — tak było! Jak również — niestety! — to haniebne wydarzenie świadczy przeciw nam samym, przeciwko społeczeństwu polskiemu, które wprawdzie potrafi bohatercko iść na barykady, potrafi znakomicie spiskować przeciw okupantowi, ale które w sposób niezwykle beztrojski, za nie mając sobie opinii świata całego, raz po raz daje dowody swej niedojrzałości politycznej. I swego politycznego rozhisteryzowania, którego zahamowania wreszcie po doświadczeniach wojny ostatniej mamy prawo się od nas samych domagać.

Jedyna jest tylko droga zadośćuczynienia: spotęgowanie akcji walki z ciemnotą i zacyfowaniem, przez ludzi do tego najbardziej powołanych — przez proboszczów i nauczycielstwo wsi i miasteczek.

OFIARA

na odbudowę świątyń to jeden z obowiązków katolika współczesnego

Podczas łamania numeru...

1) W czwartą rocznicę swego powstania otrzymała MO nowe, bardzo estetyczne, stalowego koloru mundury. Komentant MO gen. Józwiak oraz min. Radkiewicz w rocznicowych rozkazach podkreślili rolę MO, na nowym etapie walki klasowej.

2) Piąta rocznica bitwy pod Lenino obchodzona była licznymi uroczystościami. Specjalne uroczystości z udziałem Marszałka Żymierskiego odbyły się w Krakowie.

3) Plenum Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego, które obradowało we Wrocławiu, oświadczyło się w swej deklaracji pozytywnie wobec przemian zaszłych w obu partiach robotniczych; opowiedziało się także za programem

MIESIĄC PRZYJAŹNI POLSKO - RADZIECKIE

W dniu 7 października nastąpiło uroczyste zainaugurowanie miesiąca wymiany kulturalnej między Polską a Rosją. Prasa, radio i film w tym okresie poświęcone będą w dużej części osiągnięciom kulturalnym naszego wschodniego sąsiada. Gromadzone są bogate i często bardzo interesujące materiały. Społeczeństwo będzie miało możność dokładniej poznać, jak zmienia się i czym żyje wielka, a tak blisko leżąca połać świata.

Z PLENUM KC PPR

W konsekwencji uchwał KC PPR — partia ta rozpoczęła w swych szeregach czystkę ideologiczną i personalną. Prasa doniosła o usunięciu szeregu działaczy i członków partyjnych z rozmaitych komórek PPR. Usunięcia nie obejmują do tej pory, zresztą dużej ilości członków.

Szerszy, aniżeli w PPR-ze jest zasięg oczyszczania szeregów partyjnych w PPS, gdzie w poszczególnych okręgach pousuwano w każdym po kilkudziesięciu członków partii, tak wskutek błędnej linii politycznej, jak wskutek ich pochodzenia klasowego (restauratorzy, kupcy itp.).

Ostatnio podobny proces oczyszczania swych szeregów zainicjowała Rada Naczelna Stronnictwa Ludowego. Sensacją było usunięcie z SL starego działacza chłopskiego Józefa Putka, autora najbardziej antyklerykalnej polskiej książki „Mroki średniowiecza”, b. min. obecnego rządu, b. prezesa Rady Naczelnej SL, o którym obecny prezes Rady Naczelnej SL marszałek Kowalski wyraził się, iż świadomie wszedł on do SL, jako wróg, by rozbić stronnictwo od środka, kumając się z nikolajczykowcami, wuerenowcami i chaddekami.

Prócz Putka Rada Naczelna usunęła z SL trzech innych posłów (Baczewskiego, Kulisiwicza, Wanata), a z wszelkich stanowisk politycznych zwolniła trzech dalszych. Przemówienia marsz. Kowalskiego i sekretarza stronnictwa Korzyckiego oraz uchwalona deklaracja Rady Naczelnej podjęły walkę z wrogiem klasowym na wsi — to jest z bogatym chłopem, „kułakiem”.

W podobnym tonie utrzymana jest deklaracja Rady Naczelnej PSL, jaką odbywała się równocześnie z Radą Naczelną SL. Na obu radach oświadczone, iż zbierają się one prawdopodobnie po raz ostatni przed pełnym zjednoczeniem ruchu ludowego.

Min. Kiernik ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Rady Naczelnej PSL, deklarując jednak swe pełne poparcie dla obecnej radykalnej, linii politycznej tego stronnictwa. Prezesem Rady został b. min. Czesław Wycech.

W świecie

ZGROMADZENIE GENERALNE O.N.Z.

NAPIĘCIE polityczne towarzyszące obradom Zgromadzenia Generalnego ONZ w Paryżu nie zmniejsza się. Na tle dość nieustępliwego i politycznie agresywnego stanowiska Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych — charakterystycznie wyróżnia się pojeźdźca stanowisko ZSRR, którego delegaci i rząd raz po raz demonstrują pokojowe gesty. O tym czy gesty te będą mogły przemienić się w czyny — decyduje oczywiście nie tylko ZSRR, ale i jego partnerzy w wielkiej międzynarodowej grze politycznej.

Pierwszym tego rodzaju wystąpieniem był wniosek wicemin. Wyszyńskiego zgłoszony wkrótce po otwarciu Zgromadzenia, w którym Wyszyński poddał pod dyskusję wniosek rządu ZSRR o natychmiastowe zredukowanie sił zbrojnych pięciu wielkich mocarstw (ZSRR, W. Brytania, USA, Francja i Chiny) o 1/5 ich obecnych efektów, jako wstęp do generalnego rozbrojenia i jako demonstracja dobrej woli mocarstw w tym kierunku. Dyskusja nad wnioskiem będzie dopiero podjęta.

To pokojowe oświadczenie ZSRR nie wpłynęło na tok prac komisji politycznej obradującej nad kontrolą energii atomowej; większość komisji obstaje przy amerykańskim planie kontroli przewidującym najpierw powołanie międzynarodowej instytucji kontroli, potem dopiero podjęcie pertraktacji w sprawie zakazu używania broni atomowej. Plany amerykańskie nie przewidują natomiast kontroli produkcji energii atomowej, zadawał się tylko postulowaniem zakazu użycia bomb atomowych, co oczywiście bez zastosowania pełnej kontroli produkcji — jest frazesem bez praktycznych rezultatów. Wobec różnic, zdań między ZSRR i USA, różnic które już dwa lata bodaj jak nie mogą zostać wyrównane — komisja kontroli energii atomowej ONZ-tu przerwała swe prace, a Komisja Polityczna chce decyzyjnie przerwać prace zatwierdzić. Temu właśnie sprzeciwił się Wyszyński, imieniem swego rządu zgłaszając gotowość dalszych rozmów dotyczących przygotowania projektu konwencji o zakazie użycia broni atomowej i o ustanowieniu międzynarodowej kontroli produkcji atomowej, z tym jednak, iż ZSRR gotowe jest podpisać obie konwencje jedynie przy równoczesnym wprowadzeniu w życie. W toku dyskusji Wyszyński oświadczył, iż USA wzbrania się zniszczyć posiadane bomby atomowe, ludząc się jednak, iż posiada jeszcze monopol na znajomość produkcji broni atomowej. Dalsza dyskusja trwa.

Następnym z kolei aktem pokojowym ZSRR było opublikowanie noty rządu radzieckiego skierowanej do USA, W. Brytanii i Francji, będącej odpowiedzią na noty tych trzech państw złożone na Kremlu 26 września. Nota radziecka raz jeszcze stwierdza, iż pogwałcenie uchwały Poczdamu nakazującej traktować Niemcy jako gospodarza i polityczną całość, było inicjatywą rządów zachodnich, i że wobec tego represje zastosowane przez władze radzieckie na terenie Berlina miały i mają wyłącznie charakter obronny przed naruszeniem równowagi gospodarki strefy okupacyjnej radzieckiej przez odrębną strefę walutową w strefach i w sektorach zachodnich. Rozmowy moskiewskie doprowa-

dziły do pewnego porozumienia, 13 sierpnia uzgodniono z przedstawicielami mocarstw zachodnich, że ograniczenia komunikacyjne w Berlinie zostaną zniesione przy równoczesnym wprowadzeniu marki strefy radzieckiej w całym Berlinie. Tego rodzaju instrukcje przesłane zostały dowódcom okupacyjnym do Berlina. Po tem dopiero wyłonili się między rokującymi pewne różnice. Chodziło mianowicie o kontrolę nad emisją banknotów marki strefy radzieckiej, której to kontroli zażądały dla siebie rządy zachodnich okupantów. Na co oczywiście ZSRR zgodzić się nie może, gdyż równałoby się to oddaniem w ręce Anglosasów kontroli nad życiem gospodarczym strefy radzieckiej. Mimo tej różnicy rokowania początkowo trwały dalej i miano ogłosić po ich zakończeniu komunikat wyjaśniający, iż Rada Ministrów Spraw Zagranicznych zbierze się celem rozpatrzenia wszelkich niezłaźwionych kwestii, dotyczących Berlina i wszelkich problemów, dotyczących Niemiec jako całości. Jednakże nie osiągnięto porozumienia, przy rozpatrywaniu życzenia rządu ZSRR, by wykonanie uchwał londyńskich odczone zostało, aż do chwili spotkania i przedyskutowania przez Ministrów problemu całości Niemiec. Rokowania miały trwać nadal, gdy trzy mocarstwa zgłosiły nieoczekiwane sprawę Berlina na Radę Bezpieczeństwa. W tym stanie rzeczy rząd ZSRR ogłaszając raz jeszcze istotne przyczyny zatargu o Berlin zgłasza równocześnie gotowość wzięcia udziału w dalszych rozmowach czterech na temat Niemiec jako całości oraz proponuje, by dyrektywy dla dowódców naczelnych uzgodnione w sierpniu uznane zostały za wstępne porozumienie między czterema mocarstwami i by na ich podstawie załatwiona została sytuacja w Berlinie.

Tego samego dnia marsz. Sokolowski szczególnie omówił wobec korespondentów prasy niemieckiej sytuację na terenie Berlina. Wyowiedź gen. Sokolowskiego była tylko rozszerzeniem, komentarzem niejako, noty rządowej i również zgłaszała gotowość prowadzenia dalszych rokowań.

Bezpośrednio po ogłoszeniu noty radzieckiej Rada Bezpieczeństwa rozpatrywała sprawę postawienia na porządku dziennym zgłoszonej przez trzy państwa zachodnie sprawy Berlina. Wbrew protestowi Wyszyńskiego i Manuilskiego przeciwko gwałceniu Karty ONZ nie przewidującej by sprawy między państwami zwycięskimi a zwyciężonymi będące rezultatem bezpośrednim (a tak jest z Berlinem), wojny ostatniej podlegały kompetencji ONZ — Rada uchwaliła otworzyć dyskusję nad Berlinem. ZSRR i Ukraina zapowiedziały wstrzymanie się od tej dyskusji, która wobec tego stanie się dość bezprzedmiotowa.

I wtedy, zgoła nieoczekiwanie, nastąpiły dwa fakty, politycznie charakterystyczne. Przewodniczący Rady Bezpieczeństwa odczytał jej posiedzenie bezterminowo, co komentowane jest kuluarowymi próbami pojednawczymi. A prezydent Truman wezwał nagle Marshalla do Waszyngtonu, prawdopodobnie celem udzielenia mu nowych instrukcji. Dzień nikarże sądzi, iż instrukcje te będą szły po linii złagodzenia stanowiska USA wobec ZSRR, co ma być jakoby manewrem przedwyborczym Trumana.

sa — że min. Wyszyński stwierdził możliwość współpracy politycznej między państwami o odrębnych ustrojach.

5) Kuba, Norwegia i Egipt wybrane zostały na niestalych członków Rady Bezpieczeństwa. Wybór Egiptu komentuje się jako porażkę USA, które popierały Turcję. Egipt wybrany został głównie głosami anty-amerykańsko nastawionych państw arabskich oraz popierającej tych ostatnich W. Brytanii.

6) Sprawa gwałtownego wyjazdu Marshalla do Waszyngtonu wyjaśniła się nieco. Poleciał on mianowicie, by zapobiec posunięciu prez. Trumana, które miało być sprzeczne z dotychczasową linią polityczną Marshalla. Truman chciał wyjechać — bez porozumienia z Marshallem i rządem W. Brytanii — swego osobistego przedstawiciela do Moskwy, celem złagodzenia konfliktu niemieckiego. Marshall przeciw temu zaprotestował i — wydaje się — że Truman zmienił swoje zamiary.

Antoni Trepieński

KSIĄŻKA W UPOMINKU

Uroczy, najnaturalniejszy sposób propagandy książki!

Wedle zgodnej opinii osób, które ją nabywają i dla których jest przeznaczona, powinna być wydana na dobrym papierze, w przyjemnej i powabnej szacie, lecz winna także odznaczać się nieblabą treścią.

Powszechnym uznaniem cieszy się książka upominkowa, w której jest nie tylko co oglądać, ale i co czytać. Podbijająca serce obdarowanego właściciela, ponieważ taką miłą misję wyznacza jej ofiarodawca. Pociągająca oczy, by spojrzenie do estetycznego przedmiotu chętnie powracało.

Piękna książka uchodzi we wszystkich warstwach społeczeństwa za podarunek szlachetny, w dobrym guście, posiadający szerokie zastosowanie: składa go osoba zarówno bliska jak i daleka. Jedną przemawia uczuciami głębokimi, zobowiązującymi, druga myślą skromną, zupełnie niewinną, bez żadnej pretensji do wzajemności, każda bezwarunkowo z intencją do brą i życzliwą.

Dzieł ozdobnych w literaturze polskiej istnieje sporo, lecz w księgarniach nie widzimy nigdy zbyt dużego wyboru...

Do ulubionych książek upominkowych należą wydawnictwa albumowe, antologie, sztambuchy, księgi zbiorowe — bądź barwne i okazałe, bądź wykintne a skromne...

Księgi okazałe dla młodzieży: „Polska na morzu”, „Polska Lotnicza”, „Księga poległych lotników”, poświęcone wojskowości jak „Złota księga jazdy”, „Księga chwały piechoty”, encyklopedie i skarbnice wiedzy, imponujące grubością jak i zawartością...

Antologie poetyckie: Lorentowicza „Polska pieśń miłosna” i „Ziemia polska w pieśni”, Borowego wybór liryki „Od Kochanowskiego do Staffa”, Miłaszewskich „Chór wieków”, Jasińskiego „Morze w poezji polskiej”, Andrzejewskiego „Polska pieśń wojenna... Z dawniejszych: Belzy „Ojczyzna polska w pieśni”, Jankowskiego „Młoda Polska w pieśni”, Zmichowskiej „Kobieta w poezji polskiej”...

Klejnoty literatury polskiej, ilustrowane przez malarzy i grafików, popularne w epoce młodości naszych pradziadów, dziadów i rodziców: „Maria”, „Pan Tadeusz”, „Stara Baśń” z ilustracjami Andriollego, pojedyncze poematy Mickiewicza ozdobione przez Juliusza Kossaka i Antoniego Zaleskiego, „Śpiewy historyczne” Niemcewicza w opracowaniu ośmiu znakomitych malarzy, „Quo vadis” z planszami Piotra Stachewicza, „Królowa Niebios” — Gawalewicz i Stachewicz, „Na przełęczy” Witkiewicza z własnymi rysunkami autora, „Soból i pan na” z reprodukcjami akwarel Henryka Weysenhoffa, „Na skalnym Podhalu” wyd. jubileuszowe z ilustracjami Leona Wyczółkowskiego i rysunkami Włodzimierza Koniecznego, „Gody życia” ozdobione przez Antoniego Gawińskiego, „Echa leśne” przez Jana Bukowskiego i Jacka Malczewskiego, „Drzewiej” z ozdobnikami Wojciecha Jastrzębowskiego...

Szerę wydań Władysława Łozińskiego „Życie polskie w dawnych wiekach” — „najchętniej proszą o trzecie, w układzie Jana Bukowskiego”. Toż to robiło furorę!

Któż nie pamięta albumów sztuki polskiej Piątkowskiego, Tretera, Stanisława Witkiewicza, monografii jubileuszowych bogato ilustrowanych — o Andriolim, Kossa-

ku, Sienkiewicz, Siemiradzki, „Galerii Luksemburskiej”, „Kobiety w sztuce”, „Muzeów sztuki europejskiej”...

Polskie zdobnictwo książkowe reprezentuje mnóstwo nazwisk. Do wysokiej wyżyny podnieśli je chlubi nie Oleszczyński, Zaleski, Andriolli, Lewicki, Kossakowie, Wyspiański, Bukowski, Skoczylas...

Ludzie pokolenia wczorajszego sprawiali sobie hojne upominki w postaci „Popiołów” z barwnymi planszami Michała Borucińskiego, rysunkami i winiętami Edwarda Bartłomiejczyka, „Chłopów” z ilustracjami Apoloniusza Kędzierskiego i ozdobami graficznymi Zygmunta Kamińskiego.

Narzeczeni składali sobie na zaręczyny „Anhellego” z ilustracjami Wacława Borowskiego, „Powieść o udalym Walgierzu” ozdobioną przez Zygmunta Kamińskiego, „Teke zbójnicką” Władysława Skoczylasa albo „Dekameron” w pikantnej szacie artystycznej Marji Berezowskiej.

Wśród reprezentacyjnych książek na półce z napisem „NA PODARUNEK” spoczywały w okresie drugiej wojny światowej nie tylko dzieła z zakresu literatury pięknej, ale i ze sztuki oraz literatury podręczniczej. Monografie artystyczne z cennej lwowskiej serii „Nauka i Sztuka”, teki Mortkowiczowskie, monografie Wegnerowskie, starannie wydane serie tomów Trzaski, Everta i Michalskiego.

Pyszne podarunki na św. Mikołaja i na Gwiazdkę, to były odpowiadające „wymaganiom formalnym” wspaniałe monografie: Heydla o Jacku Malczewskim, Tretera o Matejce, Starzyńskiego i Walickiego „Dzieje sztuki polskiej”, Brücknera „Encyklopedia staropolska”, Bulhaka „Ferdynand Ruszczyk”, Tuwima „Cztery wieki frazki polskiej”.

Zwracały uwagę specjalnie wyszukane tytuły: Władysława Łozińskiego „Salon i Kobieta”, Mieczysława Opalka drobiazgi bibliofilskie „Gdy Alkar kochał Eminę” (obrazki z epoki Biedermajerskiej), „Stare książki — stare wina”, Czesława Jankowskiego „Z czeczotkowej szkatułki” (Odgłosy ginącego świata)... Wszystkie rekordy wytworności pobił jednak Stanisław Wasylewski ze „Srebrnym dworkiem z modrzewia”, „Ducisną Cunegundis”, „Klasztorem i kobietą”, „Portretami Pań wytwornych”, „Romansiem prababki”, „Twarzą i kobietą”... Nie mniej uwodzicielsko brzmiały tytuły roz-

działów poszczególnych książek: „O małżeństwie z ciekawości”, „O kobiecie biegnącej, kobiecie pływającej, i kobiecie rzucającej”, „O czterech zaletach kobiety współczesnej”, „Tupnęła nóżką”...

A Piskora „Siedem ekscelencji i jedna dama”?

Wielkie to szczęście dla książek, że pomaga otwierać serca niewieście. Znacznie częściej niż męskie, wedle zdania pewnej mężatki, która rzekła kiedyś:

— Cieszę się, że wyszedł „Polski słownik pijacki”. Nareszcie będę mogła trafić do serca męzowskiego inaczej, niż przez żołądek!

Egzemplarze antykwarne książek przeznaczonych „na prezenty” muszą być w nieskazitelnym stanie. Pożądane są raczej tylko „NOWOŚCI”, ze względu na to, że przyjemniej kogoś uraczyć przedmiotem nieznanym, co do którego wiadomo na pewno, że go nie posiada. Chyba że miłośnik lub miłośniczka literatury matry specjalnie o jakimś rarytasie. Na przykład o Gebethnerowskich wydaniach zbiorów poetyckich ze schyłku XIX i początków XX stulecia w oprawach półskórkowych ze sztylkami: A. Mickiewicz „Pan Tadeusz”, Homer „Odyseja”, Dante „Boska Komedia”, K. Ujejski „Wybór poezji”, także wybór Lenartowicza, Asnyka, Tetmajera...

Pożądana jest w ogóle ładna oprawa. Przystępna cena ma nie małe znaczenie, lecz na ogół nie decyduje, gdyż nabywcy chodzi głównie o to, żeby znalazła się książka odpowiednia. Oplaca się sprzedawcy mieć na składzie stałe takie książki. Z pewnością pójdą w świat, gdy będą komuś potrzebne dla uczczenia nadzwyczajnej okoliczności: na uświetnienie obchodu jubilatą zbiorową, wspaniałomyślną ofiarą na uradowanie mecenasu sztuki, rozmiłowanego w rzeczach pięknych; na pożegnanie zwierzchnika, dygnitarza, cudzoziemca, niezwykłego gościa; na nagrodę pilności dla ucznia lub uczenicy z okazji zakończenia roku szkolnego; na imieniny nauczycielki, na szczęśliwe zaręczyny ze strony narzeczonego; na uroczystość weselną krewnych albo przyjaciół, na prymicie czy obchód duszpaństwa księdza, na nagrodę stowarzyszeniową, loterię fantową, dodatek do bombonierki itp.

Czasami bywa to drobny lecz przyjemny rewanż za otrzymany upominek świąteczny. Czasami kupujący postanawia jednocześnie

zdożyć się na hojny prezent dla siebie, skuszony estetyką książki.

Książki pamiątkowe spełniają rolę użytkową w zakresie szerszym niż inne; jak obrazy i portrety, na które domownicy spoglądają długie lata. Książki upominkowe bierze się do ręki w dzień odświętny, w spokojny „dzień duszy”, wolny od kłopotów albo wręcz przepełniony kłopotami, żeby się od nich oderwać... Stanowią niezastąpioną potrzebę życia, popularyzują chleb oświaty w sposób niezrównany...

Bywają książką jedyną w samotności. Towarzyszą czasem szaremu człowiekowi jak herbarz z nazwiskiem rodzowym, kupiony gwoli próżności albo jak sennik egipski prostackowi, któremu ten przewodnik fantastyczny wystarcza za dożywotnie źródło wiedzy. O wiele częściej jednak zachęcają do poznawania dalszych książek, do zakładania księgozbiorów, budzą i krzewią głębsze zamiłowanie do literatury i sztuki oraz bibliofilstwa w najlepszym pojęciu.

Aktywny zwolennik upominku książkowego zwraca się do kupca zwykle ze stereotypową propozycją: Proszę o dobrą książkę w granicach X złotych. Podaje kwotę niewpółmiernie wyszką do zarobków urzędniczych lub nauczycielskich, jako wyraz najlepszej chęci przy ograniczonych zasobach gotówki, jednakże w żadnym wypadku nie ma równie ogromnego znaczenia jakość towaru. Rozumie się, że cena musi być w pełni usprawiedliwiona. Ludzie okazują przy tej sposobności częściej szczodrość serca, aniżeli skąpstwo, dlatego transakcje upominkowe należą do najprzyjemniejszych.

Jest jednak rzeczą niezmiernie ważną, by sprzedawca nie zerował na uczuciach klienta, gdyż ogarnia go wówczas niesmak. Jakże łatwo zrazić kogoś do książki w ogóle, właśnie z powodu nadmiaru czyjejs dobrej woli, wyzyskiwanej w celach spekulacyjnych.

Klient zgorszony cenami odwraca się niekiedy od lady księgarskiej ku innemu sklepowi, gdzie nabywa przedmioty nadające się również na szlachetne dary, wyroby ceramiczne, figurki porcelanowe, obrazy, grafiki, kryształ... Przenosi też swoje wniosłe upodobania na bardziej przyziemne podarunki, zyskując uznanie u bliźnich, tak samo eleganckie, jak doniczka kwiatów, butelka wina, tort, perfumy, mydelka, modne pończoszki. W czasie wojny uszwięcone zostały idealną tradycją cenne artykuły pierwszej

potrzeby: połeć słoniny, kilogramy masła czy cukru.

W dziedzinie książek upominkowych zarówno sprzedawcy, jak i kupujący, popełniają ciężkie grzechy.

Kupiec z przypadku nie raczy dbać o należycie o interesy, przez wrodzone niedbalstwo lub lenistwo, prowokujące do zlekceważenia sklepu. Nie chce mu się od czasu do czasu zaniesić do intrologatora partii książek, celem ich oprowienia. Tłumaczy się, że nie ma na to czasu ani pieniędzy, co jednak nie przeszkadza przygotować się doskonale do sezonu podręczników szkolnych i czynić z góry odpowiednie oszczędności w przewidywaniu „żniw”. Podręcznik szkolny idzie zaraz, a książka upominkowa musi się czasami odleżeć w oczekiwaniu na tak zwanego fuksa. Na to kupiec, obliczający wszystko polskim zwyczajem na doraźne inwestycje, z dnia na dzień, bez wytwarłego oddechu — boi się decydować.

Nie kwapi się do zadowalania wybredniejszych czy bardziej wymagających klientów, do podnoszenia poziomu sklepu, uzależniając się całkowicie od woli przypadkowych dostawców. Nie poświęca uwagi sprawom organizacji sprzedaży, nie dokłada starań o jakościowy dobór sortymentu, nie ma pojęcia o tym, że do sukcesów dochodzi się twardą pracą, pomysłowością, żywą inteligencją — na polu kulturalnym więcej niż na jakimkolwiek innym. Tam gdzie kupiec woli grać w warcabu przy ladzie sklepowej, z pewnością nie ma czasu na myślenie o publiczności. Tam zna się ona z reguły lepiej na książkach niż ten, co żyje z nich zarobkowo, domniemany specjalista. Bar dzo często klient zna się na literaturze i bieżącej bibliografii ocale niebo lepiej niż zawodowy przedstawiciel „pośrednictwa literackiego”, uważający się nawet za rutynistę. Wprawdzie nie jeden korporter trawi całe życie wśród książek, nie pogłębia jednak wiedzy o nich, nie studiuje fachu, nie interesuje się bliżej bibliografią ani bibliologią, nie zwraca uwagi na warunki rozwoju przedsiębiorstwa, bez względu na możliwość zwiększenia zysków. Są sprzedawcy książek, którzy nie stykali się nigdy z intrologatorami, drukarzami, pisarzami i grafikami w sprawach książek. Są tacy, co nie chcą się nauczyć niczego nie tylko od przedstawicieli pokrewnych zawodów, ale i od gości w najszerszym znaczeniu.

Brak książek nadających się na prezenty, to wielki niedostatek. Księgarnia obsługująca starannie klientelę stałą a zaniedbująca gości przyjezdnych i przygodnych, nie stoi na wysokości zadania placówką handlową dla wszystkich.

Oburzyła się słusznie dama z powodu odmowy zapakowania nabytej książki w estetyczną bibułę.

— Proszę mi książkę ślicznie zapakować i obwiązać kolorowym szpagatem. Na miłość Boską, to ma być upominek! Wypada go zapakować w papier ładniejszy, niż stara gazeta.

— Wstąpi sobie pani do sklepu papeterii i naprzeciwnie i każe sobie przepakować.

— Proszę pana, dopłacę chętnie parę złotych za czysty papier i sznureczek, bylebyście życzenie moje spełnili na poczekaniu.

— Nie mamy czasu na drobiazgi w okresie przedświątecznym.

— Mała rzecz, a wielki wstyd!

(dok. n.)

Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwnozarowe włocne

Fachowość, dbałość o
wydajność i trwałość, to
bądź nam opisać, nie
niezmiernie doskonałe
to jest nasze wyroby

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
TWIS" SP. AKC. GRODZISK MAZ. UL. SPÓDZIELCZA 2, tel. 7067

Maciej J. Kononowicz

JUDASZOWA NOC

(fragment większej całości)

Karbidówka migotała coraz szybciej. Żelazny piecyk, rozpalony do czerwoności, pulsował falami ciepła, nadgryzał swym żarem drewniane ściany i rozświetlał różowym poblaskiem wnętrze kantorku.

Stefan nauczył się już słuchać nocnego koncertu. Ksylofon gra: — raz po raz krótki trzask rozsychniętych się desek ścian, belkot i bzykanie ognia w piecyku, wicher w w gardzieli rur, rwany spazm wichury na zewnątrz, miękkie chlapanie śnieżnej zadyмки o stłuczoną, dzwoniącą szybę, zgrzyt zawiasów u rozluźnionych drzwi.

Stefanem zawsze wstrząsał dreszcz obrzydzenia, kiedy w szparze, między ścianami kantorku i przyległej doń stajni, rozpoczynały się harce potwornych szczurów. Kotłowały się, opadały skądś ze stryszku jak żywe ochłapy ścierwa z głuchym łoskotem i kwikiem, dzwoniły pazurami po strzępie blachy, drapały się i tarły o deski na wysokości oszalonego trocin. Z zewnątrz, z pobliskich torów, doleciał czasem dźwięk zderzaków, świst lokomotywy lub patrolowe gwizdki. Zresztą było cicho.

Stefanowi kleiły się oczy coraz bardziej — rozebrało go już gorąco, rozebrało go już zupełnie jednostajny migot pykającej karbidówki, Żółtek, wielki pies, spał w kącie na brudnych workach. Spał czujnie, o czym świadczyły mieniące się w nieustannym ruchu uszy; rejestrowały one każdy, najłżejszy nawet szmer, szelest, dźwięk. W psiej czasce dokonywała się jakaś przedziwna, automatyczna selekcja słuchowych zjawisk. Przerażliwy, bliiski świst lokomotywy, dźwięk zderzaków wagonowych, patrolowe gwizdki — nawet denerwujący dzwonek telefonu — wszystko to były rzeczy nieważne. Dopiero ledwie do słyszalne osypywanie się węgla ze stert, leżących na placu, skrzypienie furtki lub jazgot psów z sąsiednich placów — mogły spowodować reakcję.

Właśnie w tej chwili Żółtek ułożył raptownie łeb. Zagotował mu się w gardzieli groźny warkot i lekko zjechała się sierść na karku. Stefan wstał, przeciągnął się rozkosznie, nastawił kołnierz burki i pchnął drzwi. Buchnęło parą na zewnątrz, w szparze zaczerwieniły się tańczące płatki śniegu. Pies był już przy furtce. Pewien czas ujadął zapamiętałe — i raptownie zamilkł.

Stefan, brnąc po kolana w śniegu, obchodził wokół plac. Uśmiechnął się: źle świadczy o jego stróżowaniu brak wydeptanej w śniegu trasy! Wielkie sterty węgla nieskazitelnie pokryte białą pierzyną śniegu. Nigdzie czarnej łachy — do wód, że nikt się nie dobierał...

Stefan zbliżał się do furtki. Dłonią, zanurzoną w czeluściach kieszeni szukał guziczka kontaktowego u wielkiej latarki. Pies sterczał ciągle w tym samym miejscu i merdał tajemniczo ogonem.

Stefan odsunął ciężką zasuwę i wyjrzał za furtkę w ślepa, wewnątrz na uliczkę, dzielącą place. Ciemno... Nasłuchiwał pewien czas, ale poza zgrzytem pilowanego drzewa, gdzieś od strony składu desek — panowała idealna cisza. Puścił ostry strumień światła w uliczkę, zaczął terkotać światłocieniem po sztachetach przeciwległych, przerzucił światło na lewą stronę — i... ujrzał przylepioną do płotu postać.

— Kto jest? — rzucił groźnie.
— Tsss... tsss... zgasz pan światło. Swój.

— Kto jest! — powtórzył głośnie.

— Zgasz pan do cholery światło, rozumiesz pan!

— Żebym ja ci mordy nie zgasił prętem — rzekł brutalnie Stefan i począł macać światłem od stóp do głowy człowieka, przyklepionego do płotu.

— Zgasz pan, na miłość boską! — powtórzył prosząco człowiek. Stefan przesunął guziczek latarki na „drugi bieg“ i rzucił spokojnym już głosem:

— Co, Mussolini?

— Tak, ja! Ale idź już pan, dziś mamy inną robotę. Przecie do pana nie wleziemy. Ani my, ani od Bociana...

Stefan zgasił latarkę. Należało jeszcze coś powiedzieć, zakończyć rozmowę bardziej po ludzku. Chwi-

łą stał milcząc. Patrzył teraz na czarną sylwetkę krzyża: drogą kontrastu, gwiazdy rozsiane przy ramionach krzyża, lśniły mocniej, ostrzej. Odniósł dziwne wrażenie, że się gwiazdy lekko kołyszą w prawo, w lewo... albo może to krzyż? Halucynacja? Wiatr?...

Mussolini szeptem, wyraźnie zniecierpliwionym, w którym było coś z groźby hamowanej rzucił:

— Czego się pan jeszcze pętasz? Zabierz pan psa i odjazd...

O, nie! Takiego tonu nie ścierpi. Stefan czuł, jak w nim dojrzeła złość i upór. Możemy się podrażnić — myśli — najgorsza rzecz z tymi złodziejami, to dać się raz steroryzować. Ze złościwą satysfakcją zapalił ponownie latarkę. Krzyknęło światłem w ciemnej uliczce.

— Ostatecznie — rzekł spokojnym, dobitnym głosem — to ja jestem od tego, za to mi płacą, żeby właśnie latarką świecić. A od czego ty jesteś, to.

Mussolini znów uderzył w ugodowy, nawet proszący ton:

— Panie szefie, daję słowo, że nikt nie będzie u was na placu!

— Łaski mi nie robisz — burknął Stefan. To ode mnie zależy, od mojej latarki, od psa i od kija — rozumiesz?

— Panie, jak pan złodziejowi nie wierzysz, to komu masz wierzyć?

Stefan miał pełną satysfakcję. Rozweseliło go to ostatnie pytanie: „Jeśli złodziejowi nie wierzysz“ — rozgryzał — „to komu?“...

Wolnym krokiem, jakby chcąc podkreślić, że nie ma w tym uciecz-

ki i kapitulacji ruszył za furtkę. Pchnął zasuwę, cmoknął na Żółtkę i powłókił się w stronę kantorku.

Ta noc była fatalna. W piecyku przygasła — mróz, który przenikał przez szpary desek, nieszczęsne okno i drzwi, dogryzał resztki nagromadzonego ciepła. Pchnęły coraz dokuczliwiej drażniły ciało. Stefan dorzucił łopatę drzewnego węgla, trochę koksu, sprawdził, czy czasem nie pojawiła się elektryczność, usiadł i oparł głowę na zakurzonej blacie biurka. Powoli ogień rozpoczynając swą symfonię. Fala ciepła płynęła od pogniecionych rur. Powieki stawały się coraz cięższe, grubsze, kleistsze, myśli — obrazy coraz dalej odpryskiwały od rzeczywistości, świadomość rozszczebiała się: świat — i odbicie lustrzane, przedmiot — i cień, dźwięk — i echo... Nowy wymiar urealniał niereczywiste i niemożliwe... Oto widać jeszcze kałużę światła, rozlewającą się spod drzwiczek piecyka — i wysuniętą, dziwacznie wielką łapę Żółtkę widać poprzez śnieg, zasypujący oczy, poprzez ostre sopte gwiazd, kołyszących się nad krzyżem... Mussolini przed chwilą jeszcze wielki, rosy, potężny — tonieje od nóg... już tylko kolana, już mu został tylko kadłub, odbity w czarnym tuszu kałużę — a trochę dalej śnieg i tory kolejowe.

Latarka parzy dłonie — snop światła — roztopia, unicestwia każdy przedmiot na który padnie... oto już wyszarpał kolisty szmat płotu w „Asfaltowej“, wygrzył piętrowy rudery na Oświęcimskiej. Przepalił na połowę słup słupek latarni, półkolistą smugą wystrzygł gwiazdy z zachodu na wschód, wypalał ścieżkę w zaspach śniegu wokół placu, wokół placu poprzez płot, który pęka w ogniu, poprzez sterty drzewa, składnicę kafil... Słychać jakiś trzask, jakby się waliła cała chałupa ze spróchniałych fundamentów. Przerzucił szybko strumień światła na stertę węgla, przegryzł śnieg — i nagle buchnął potężny płomień w górę — pożar! pożar! — Stefan chwytając się za głowę, czuje dotkliwy ból na czole, na kości policzkowej — chce wołać, krzyczeć, ale wiatr wlatując mu w nos powrotem do gardła, dławi — i później orzeźwia jasnym strumyczkiem... To telefon krzykliwym srebrem przeciął sen. Stefan nie podejmuje słuchawki. Niech sądzą w Centrali, że jest na obchodzie terenu. Ma prawo nie słyszeć telefonu.

Wyszedł na plac. Już się przedierał szary dzień. Spojrzał przed siebie oczami na martwe, śniegiem pokryte drzewa, spojrzął na... spojrzął na... — i skamieniał! W miejscu, gdzie przekreślał przeszerzeń wielki krzyż — pustka, ołowiane niebo. Gwizdnął na psa i pobiegł ślepa uliczka. Za powalonym ogrodzeniem bieli się odpływający pien krzyż. Żółtek biegł już w powrotem po krzywym tropie ludzkich stóp i szerokiej płozy. Stefan szedł powoli śladem judaszowej zbrodni. Z uliczki skierował na tory i potykając się, posługując o wyboje doznał do finału tragedii: ślady na śniegu kończą się czerwona miazgą i krzyżem drewnianym, o przyciętych kołami ramionach, krzyżem łączącym między szynami. Stefan spojrzął na rzyż, zjezoną sierść Żółtkę, na płat śniegu, zaróżowionego na zębnie, spojrzął na strzępy ludzkiego ciała — i drżąc z zimna, czy z wrażeń, wracał powoli na plac.

O „KSIĘDZE ŚWIADECTW“

(List otwarty)

Trzeba jak najszybciej zorganizować wszystkie elementy, które mogłyby się przydać do zmobilizowania materiału informacyjnego o „działalności“ Niemców w czasie okupacji na ziemiach polskich, najbardziej skrwawionych i zdeptanych przez hitlerowskie metody i hitlerowską praktykę.

Pisze się, że nie było organu, który by mógł należycie informować Watykan o tym, co „działo“ się w Polsce w tych potwornych latach.

A — przecież: wystarczy przesłuchać jednego księdza polskiego, który przeszedł gehennę tych, lat, aby Stolica Apostolska miała należyty obraz całości.

Dam tu przykład na fragmencie jednej mojej rozmowy z poważnym księdzem krakowskim. Cytuję z tej jednej rozmowy następujące fakty.

1. Wspomniany wyżej ksiądz krakowski rozmawiał z pewnym gestapowcem, który chwalił się mu, że właśnie zastrzelił siedemsetnego Żyda.

Na pytanie księdza: czy nie odczuwa jakiegось wewnętrznego wstrząsu na widok padających od kul ludzi, którzy mu przecież nie nie zawiniłi, odpowiada ów „strzelec“ niemiecki, spec od tępienia Żydów, że nie tylko nie odczuwa żadnego jakiegось przykrego wrażenia, ale wprost przeciwnie... te egzekucje dają mu dużą satysfakcję osobistą.

Kiedy zaś wysoce zdumiony ksiądz zapytał go: w czym może tkwić ta satysfakcja, gestapowiec wyjaśnił mu, że trzeba być sportowcem i mieć wycucie sportowe, aby zrozumieć: ile przyjemności daje taka strzelanina. Bo trzeba do tego dużej sprawności. Trzeba najpierw kopnąć „tego przekłętą Żyda“, aby wpaść do przygotowanego rowu, ale równocześnie obliczyć precyzyjnie czas, aby nie spóźnić się ze strzałem w kark. Nie można też — oczywiście — pośpieszyć się ze strzałem, bo wów czas bryźnie krew i... poplamia mundur. (Pamiętamy: jak starannie byli umundurowani kaci niemieccy z różnych sort Polizei; mogli może nawet imponować tą starannością tym, co nie zaznali rządów gestapo, S. A. i S. S.).

I to nie był jakiś wyjątkowy gestapowiec. Wprost przeciwnie to był osobnik przykładowy, t. zn. „normalny“ hitlerowiec, jakich poznaliśmy tyłu w czasie tych kilku ponurych lat.

Tak mordował naród niemiecki. Bo taki był system niemiecki, bo

takie było wychowanie całych pokoleń Herrenvolku, przeżartych jadłem nienawiści na wskroś, do szpiku kości, wyprutych z elementarnych zasad miłości bliźniego z elementarnego poczucia ludzkości.

2. Byli różni zbrodniarze na przestrzeni wieków. Potworne ich czyny budzą wstręt i pogardę.

Ale dopiero Niemcy przekroczyli granicę zbrodni tak daleko, że wstręt i pogarda są zbyt słabymi określeniami ludzkiego reagowania na ich wyczynny.

Bo dopiero Niemcy potrafili z zimną krwią mordować dzieci.

I chodzi tu nie tylko o zbiorową eksterminację, o masowe gazowanie i strzelanie dzieci, jako narybku zniechęconej przez Niemców rasy. Chodzi tu o mordowanie — z premedytacją — pojedynczego dziecka polskiego względnie żydowskiego.

W jednej rozmowie wspomniany ksiądz krakowski cytuję dwa autentyczne wypadki zamordowania bezbronnego dziecka.

W pierwszym z tych cytowanych wypadków Niemiec chwytając dziecko za nóżkę i rozbił mu główkę o mur. W drugim: porywa dziecko brutalnym szarpnięciem, wiska główkę pod pachę swego lewego ramienia i strzela w tę główkę, opartą — o ironię! — na... sercu niemieckiego Kulturtragera.

To — jeden ksiądz polski podaje dwa takie wypadki, na których określenia brak słów w języku polskim.

A — ileż wypadków podaliby inni księża polscy?...

Wystarczy wreszcie zapytać się biskupów polskich, co oni sami przeżyli pod rządami „pracowitych i dobrych“ Niemców, co przeżyło pod tymi rządami duchowieństwo polskie — nie tylko w obozach koncentracyjnych, co wreszcie przeżyło całe społeczeństwo polskie?

Dlaczego?...

My nie szkalujemy narodu niemieckiego. My nazywamy go imieniem to, do czego żaden inny naród nie był i nie jest zdolny.

My przeżyliśmy to jedyne w historii widowisko, kiedy to Niemcy katowali dzieci polskie we Wrześni: za odmawianie pacierza w języku ojców i to drugie, kiedy to Niemcy mordowali dzieci polskie z premedytacją, z planem, z precyzją.

My, Polacy, powinniśmy też znaleźć dość sposobów na to, aby za-

sypać Stolicę Apostolską powodzią udokumentowanych dowodów na to: jak Niemcy krzywdzili i w nieludzki sposób maltretowali nasz naród.

Aby zaś te dowody pochodziły ze źródła, którego Stolica Apostolska nie mogłaby zakwestionować, proponuję aby natychmiast przystąpić do opracowania KSIĘGI ŚWIADECTW, złożonych przez księży katolickich.

Na tę księgę złożą się nie tylko spisane już i drukowane wspomnienia księży polskich z obozów koncentracyjnych, ale nadto — i przede wszystkim mało znane przeżycia, nigdzie dotąd jeszcze nie wykorzystane i nie publikowane.

Niemiecki przekład KSIĘGI ŚWIADECTW powinien być rozesłany wszystkim biskupom i księżom niemieckim, aby umieli wyciągnąć naukę z tego, co działo się nad Wisłą w czasie rządów hitlerowskich, aby — w konsekwencji — inaczej wychowywali młode pokolenie niemieckie, karczując w nim zasady odwetu, nienawiści, eksterminacji t. zw. ras niższych i te wszystkie elementy, aż nadto dobrze znane Państerzom ludu niemieckiego, który budował swego czasu pobożnością, ale — niestety — niedługo potem udzielił pełnego poparcia Hitlerowi i mordował na jego rozkaz, przygotowując — w dalszej perspektywie — nie tylko wyniszczenie Żydów, ale i Polaków. A, gdyby się spełniło marzenie niemieckie o podboju: „Morgen der ganzen Welt“, to wyniszczenie wszystkich Słowian — po kolei.

Projektowana KSIĘGA ŚWIADECTW, byłaby nie tylko aktem samoobrony ze strony społeczeństwa polskiego, była by także ważnym dokumentem dla całego świata cywilizowanego, ostrzegającym wszystkie narody przed niebezpieczeństwem zwyrodnienia, do którego prowadzi najstraszniejsza spółka: pycha połączona z nienawiścią.

Materiał, czerpany z żywej księgi przeżyć, mówić będzie sam za siebie. Komentarz będzie zbyteczny. Materiał ten zrozumie każdy, kto nie zatracił poczucia godności ludzkiej i sumienia.

A duchowieństwo polskie spełnił jedyne w swoim rodzaju obowiązek o znaczeniu historycznym dla całego świata cywilizowanego.

Obowiązek to bardzo doniosły.

Ks. Henryk Weryński

Przy furtce stał Mussolini, mniej szy jakby, zmarznięty i zawstyżony. Stefan pokazał ręką w kierunku, gdzie stał przedtem krzyż i spytał:

— Czy to wasza robota, co?

Teraz dopiero, za dnia, przyjrzał się szarym oczom Mussoliniego, przywódcy jednej z band węglowych złodziei: była w nich szcze-

łość i dobroć, tak bardzo nie pasująca do silnej, potężnej bryły ciała, do czarnych, twardych rąk, wreszcie do zawodu, jaki uprawiał. Mussolini wytarł szerokim rękawem nos i przytupując nogami w śniegu rzekł, jakby bezzadnie:

— Żeśmy chcieli przeszkodzić, wtedy, co pan latarką świecił. To Władka-Judasza namówiły banszuce za trzy litry... że niby ciągnikom

krzyż utrudnia wjazd. Historia Pa na Jezusa powtarza się co rok, pa nie szefie. Co rok Boże Narodzenie, co rok Zmartwychwstanie... co rok nowe Judasze sprzedają Go za srebrniki. Ano — kończył — niech gnije ścierwo. Tamten Judasz też marnie skończył.

Stefan tym razem wskazał w kierunku torów, gdzie ślady kończyły się miazgą:

— To może wyjście go zepchnęli pod...

Mussolini błado uśmiechnął się:

— Nie wasz interes. Był zachlany, wlaź na ślepią lokomotywie. To już musi z boskiego wyroku kaźden Judasz nędznie ginie. I dodał: — My złodzieje branżowe mamy swój honor i sumienie. Władek ro-

bił „na dziko“, zwał się ze szkło pami. Niech go tera wilki grzebią.

Stefan spuścił oczy w dół... Zółtek czerwonym jęzorem lizał ciężką, nabrzmiałą, opuszczoną dłoń Mussoliniego.

Z ulicy, w ślepią uliczkę wchodziłi pracownicy z dziennej zmiany: stary pan Franciszek i Tadeusz...

Maciej J. Kononowicz

Tadeusz Dworak

O TEORII WIERSZA

Studia Kazimierza Wójcickiego, Jana Łosia, Franciszka Siedleckiego, Karola W. Zawodzińskiego i innych nad wierszem polskim nawiązały do wielu stron (choć w tym świetle są też promyki złudne) — tę dziedzinę stylistyki. Ostatnio Stanisław Furmanik wydał „Podstawy wersyfikacji polskiej“. Rzecz zakrojona jest szeroko, z ambicją systematycznego ujęcia. Już sam temat i ten jego zakrój nakłania do zastąpienia obowiązkowej recenzji obowiązkiem wyższego rzędu: krytycznego przeglądu pracy.

Autor zaczyna od postawienia zagadnienia: czym się różni wiersz od prozy? Co prawda stwierdza, że „W języku polskim używa się innej pary pojęć, mianowicie: poezja — proza“, ale obchodzi go tutaj nie poezja, lecz wiersz. Z toku książki dowiadujemy się, że odpowiedź na pytanie co do różnicy wzmiankowanej między wierszem a prozą, wypadła, jak się należało spodziewać, zupełnie jasno i pospolicie: wiersz różni się od prozy po prostu swoistym rytmem i przeważnie tymami. I okazuje się, że nie to było głównym tematem książki, ale analiza i klasyfikacja wiersza, jako formy dźwiękowej. Ten sam przedmiot, który Jan Łoś przedstawił jako przebieg rozwojowy („Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju“), wykazując wpływ na gruncie historycznym i na kanwie indywidualności poetyckich — St. Furmanik traktuje inaczej: cały materiał układa stylistycznie według przybywania lub ubywania pewnych jakości.

Na wstępie wyłoniła się zasadnicza kwestia akcentu. Autor zdaje sobie sprawę z istnienia t. zw. akcentu pobocznego w wyrazach wielogłoskowych, np. „województwo“ lub „krakowianeczka“. Akcent główny przypada na zgłosce przedostatniej, akcent poboczny na pierwszej. Zdaje sobie także autor sprawę z akcentu rytmicznego, który nie zawsze idzie w parze z akcentem deklamacyjnym. Teraz pytanie: czy rozpatrując budowę wiersza oprzeć się na akcencie rytmicznym, czy na deklamacyjnym? Autor bez słowa uzasadnienia wybrał to drugie, zresztą wzorem innych badaczy wiersza. Nie mogąc w praktyce utrzymać się przy tej zasadzie, zastosował rodzaj kompromisu między rytmiką a deklamatoryką. Trzeba jednak rozstrzygnąć, czego stylści i rytmicy przeważnie nie robią, te dwa w istocie różne punkty widzenia.

Rytmika ma swoje schematy widoczne przy skandowaniu, które w toku prawidłowego wygłoszenia rozciągają się i modyfikują. Akcenty deklamacyjne zależą od treści wyrazów logicznej i uczuciowej; akcenty rytmiczne polegają na zwykłym akcencie wyrazowym, z zastosowaniem w wierszach dość często pewnej licencji.

Zwróćmy uwagę na następujący wiersz:

Imię krytyki? nie, krytyków.

A! ba!

Któż z nich ma imię?

Z.K.S.K.E.K.

(„Beniowski“)

Według akcentowania deklamacyjnego wiersze te nie miałyby żadnego rytmu:

S s s s s — S S s s S S

S s s s s — S S S S S S

(S — zgłoska akcentowana, s — nieakcentowana). Gdybyśmy tak traktowali rytm np. „Beniowskiego“ — mogłoby się okazać, że jedyną jego miarą jest jedenaście zgłoszek w wierszu. Na szczęście jest inaczej; rytm wiersza opiera się na akcencie rytmicznym; urywek przez nas przytoczony ma normalną budowę rytmiczną:

S s s s s — S s s s S s

S s s s s — S s s s S s

Potrzebne tu jest oczywiście zastrzeżenie co do wyrazów „krytyki“ i „krytyków“. Jeżeli Słowacki nie akcentował tutaj zgłoszek środkowych, to zastosował licencję poetycką, każąc przy skandowaniu te właśnie zgłoski akcentować wbrew prawidłom umowy. Zresztą pogardliwa intonacja, którą tutaj należało zastosować, może zmienić owe prawidła.

Przyjęty od dawna podział na zgłoski akcentowane i nieakcentowane został w polszczyźnie wprowadzony m. in. pod wpływem analogii do starożytnego metrum ilozasowego, różniące się tylko stopem długą i krótką. Rozróżniamy więc zgłoski akcentowane i nieakcentowane. Tymczasem potrzebne są dalsze rozróżnienia — zgodnie z praktyką wymowy i poczuciem rytmu poetów. Sprawa dałaby się zbadać dokładnie przy pomocy odpowiednich aparatów i analizy fal głównych. Zresztą nasze zagadnienie tego nie potrzebuje. Wystarczy wyrobione ucho, ażeby stwierdzić, że mamy różne stopnie akcentowania i nieakcentowania. Trzy stopnie zarysowują się wyraźnie: akcent mocny, akcent słaby i brak akcentu. Tak jest w wymowie zwykłej; w wierszach słychać jeszcze akcent najmocniejszy, trzeciego stopnia. Najwygodniej może byłoby te rodzaje akcentu wierszowego nazywać akcentem słabym, średnim i mocnym; prócz tego są sylaby nieakcentowane. Cały czas mówimy tutaj o akcencie rytmicznym, nie zaś deklamacyjnym, który ma znacznie więcej swoich stopni.

St. Furmanik akcent słaby niemal we wszystkich rozpatrywanych w swej książce przypadkach odrzuca, sprowadza do zgłoski nieakcentowanej. Czy to stanowisko jest słuszne? W poprawnej wymowie nagłos jest zwykle silniejszy od wygłosu. W wyrazach cztero i pięciosylabowych ten nagłos staje się jeszcze silniejszy, niż w wyrazach krótszych — i np. w przemówieniach wiecowych do wielkiego tłumu, gdy trzeba rozwinąć całą pełnię ekspresji, akcent poboczny przybiera natężenie równe akcentowi mocnemu. Np.:

Pod-wa-žo-no naj-i-stot-niej-sze in-te-re-sy Rze-czy-pos-po-li-tej. W

wymowie wiecowej, przypominającej wołanie, będziemy akcentować tak:

S s S s S s s S s S s S s S s S s S s

Podobnie akcentują poeci w wierszach, używając wyrazów więcej, niż trzyzgłoskowych, na co wskazuje ustalony wielkością tekstu rytm wiersza. Ten akcent rytmiczny kiedyś bywał podkreślany wotrem muzyki, towarzyszącej recytacji.

Wiersz polski zasadniczo nie zna zbiegu zgłoszek nieakcentowanych — ponad dwie. Tylko w wierszach nowocześniejszych, „tonicznych“ o luźniejszym rytmie, przypominającym nieco rytmiczną prozę (np. biblijną) — może się zdarzyć zbieg trzech lub czterech nieakcentowanych. Natomiast zbiegu zgłoszek akcentowanych w ogóle w wierszu polskim nie ma. Deklamator może sobie akcentować — i słusznie — kolejno sześć liter w „Beniowskim“: Z. K. S. K. E. K. Autor, który te inicjały osadził w konstrukcji rytmicznej zwykłego jedenastozgłoskowca — każe je odczytać, jako trzy jamby.

Kiedy mowa o akcencie deklamacyjnym, wartoby, chociaż w krótkości, określić, co tu mamy na myśli.

Odtworzenie wiersza głosem może być rozmaite:

1 skandowanie celem uwydatnienia rytmu wierszowego;

2 czytanie „zwyyczajne“, które jeszcze nie jest deklamacją, z nieznacznymi modulacjami;

3 deklamacja;

4 recytacja prozaiczna, nie uwzględniająca rytmu, celem uwydatnienia składni.

Rzecz prosta skandowanie, jako przesadne wybijanie rytmu, nie ma charakteru naturalnego wygłoszenia. Jak wygląda zagadnienie rytmu w deklamacji? Sprawa ta jest sporna. Nie raz już w związku z wystawieniem dramatów Słowackiego odbywały się dyskusje w recenzjach teatralnych na temat artystycznego wygłoszenia wiersza. Zarzucano aktorom, że nie uwydatniają całego piękna poezji, ponieważ zaciera ją jej rytm. Aktorzy istotnie recytowali wiersz, jak prozę — i mieli swoją rację, wychodząc z założenia, że dramat jest grą działań i uczuć — i że uwydatnienie „muzycznej“ strony wiersza, jego rytmu i rymu mogłoby zaciemnić wyrazistość ładunku treściwego i obniżyć zasadniczy efekt sceniczny.

Od roli aktorskiej należy odróżnić deklamację, w której właśnie zwykle obowiązuje wydobywanie muzycznej strony poezji. Urok wiersza dźwiękowy polega głównie na współdziałaniu rytmu z tokiem zdań. Tok zdań, swobodny i naturalny rozbrzmiewa w regularnym takcie wierszowym. Składnia powinna być podporządkowana myśli przewodniej, lub t. zw. koncepcji artystycznej; jeżeli jest podporządkowana schematowi rytmicznemu (jak to się zdarza słabszym poetom), np. jedno zdanie w jednym

wierszu, wtedy styl utworu jest sztuczny i monotony.

Co by więc nazywać akcentem deklamacyjnym? Deklamacja byłaby jakąś syntezą recytacji prozaicznej i skandowania; byłaby sztuką odtworzenia myśli i uczuć utworu w jego rytmowo-rytmicznym układzie dźwiękowym. W porównaniu z akcentowaniem w prozie, akcent deklamacji wykazuje pewną różnicę. Można by powiedzieć, że wystarczy wymawiać prawidłowo, a z układu akcentów rytm wiersza sam powinien się ułożyć. Byłoby tak, gdyby nie swoboda poetycka, stosująca często mocniejsze lub słabsze licencje. Czyby jednak nie traktować tych miejsc nie jako licencji, lecz jako modyfikacje rytmu? Może się i to zdarzyć, ale w granicach rytmu, ustalonego całością utworu. Poeci unikają rażącej licencji; najwybitniejsi z nich prawie zawsze odchylenie od normy umiarkują artystycznie umotywowane lub przynajmniej upozorowane. Czasem wykorzystują wymowę o wahałym akcencie, najczęściej zaś powołują do życia akcent poboczny.

Klasyfikacja rytmu i analiza przykładów u Furmanika nasuwa czasem niejakie wątpliwości, ale na dłuższą polemikę brak nam tu miejsca. Dlaczego np. „nie należy się doszukiwać stóp na terenie metrum sylabicznego“, do którego należy np. pospolity jedenastozgłoskowiec? Mnie się zdaje, że spostrzeżenie stóp w tego rodzaju wierszach nie tylko nie jest „metodologicznie fałszywe“, ale jest konieczne przy dokładniejszej analizie rytmu. Dotyczy to najbardziej jedenasto i trzynastozgłoskowca. Inny jest tok rytmiczny w wierszu, zaczynającym się dwoma jambami:

Śniło mi się, co nigdy w życiu się nie wysni,
Przyszło do mnie snu cieniem, co prawdą nie było
(Maryla Wolska)

a inny przy zaczęciu amfibrachem i jambem:

Onego czasu wielkie południa
Tytany
Powstały przeciw Bogu, królom i niewoli
(J. Słowacki)

Podobnie w drugiej części tegoż trzynastozgłoskowca jest pewna różnica między dwoma amfibrachami a trzema jambami (Taki były zabawy, spory w one lata. — Był gaj z rzadka zarosły, wysłany murawą). Ta różnica, tutaj — zaledwie dostrzegalna, jest już większa w jedenastozgłoskowcu:

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym diasku rozbiłem namioty
(Słowacki)
Hej! Wicher wyje, a las zwiędł ginie,
Cichy krok śmierci słychać w uschłej trawie
(Staff)

Różnicę, którą wprawne ucho wykrywa, można uzasadnić przy pomocy rachunku; cytat z „Ojca zadzu-

mionych“ przedstawia cztery zgłoski akcentowane w wierszu, gdy początek wiersza „W mroku“ — pięć. Przy tych samych pozostałych warunkach (np. użycie wyrazów o płynnym brzmieniu) jedenastozgłoskowiec z czterema akcentami będzie miał tempo szybsze, niż z pięcioma.

Sprawy anapestu nie możemy zbyć milczeniem. Tej stopy w wierszach polskich zasadniczo nie ma. Może anapest pojawiać się wyjątkowo jako licencja rytmiczna — i to wtenczas jest zwykle pozorny, z akcentowaną, chociaż słabiej, pierwszą sylabą „anapestu“. Kwestię rozświetli przykład:

W głuchej puszczy przed chatą leśnika

Rota strzelców stanęła zielona —

Budowa tego wiersza jest jasna: mamy tu dwa jamby i dwa amfibrachy; odchylenia od tego układu są bardzo nieznaczne i nieliczne. Weźmy inny przykład:

I wydarto go z ziemi — popiołem
I wydarto go wierzbie płaczącej
Prochu! prochu! O, leż ty spokojny,

Gdy usłyszysz głos trąb wśród odmetu

Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy, lamentu —

Oba wiersze oparte są na tym samym zasadniczo rytmie. W drugim przykładzie początki wierszy są bądź wyraźnie jambiczne (Prochu, prochu!), bądź, i to nawet częściej, anapestyczne lub niby — anapestyczne (I wydarto go). Dlaczego nie odczuwamy różnicy i cały wiersz Słowackiego przedstawia nam się jako rytmicznie jednolity. Bo są to anapesty pozorne; pierwsze sylaby w tym wierszu przeważnie mają akcent słaby. Przyjęcie tutaj rytmu złożonego z dwóch jambów i dwóch amfibrachów (SsSs — SssSs) najlepiej odpowiada naturalnemu rozczłonkowaniu toku zdaniowego i zaoszczędziłoby autorowi myślnych komplikacji. Sylaba „nadliczbowa“ nie jest sylabą nadliczbową, tylko należy do innej stopy, niż to się autorowi wydaje. „Nadliczbowość“ i „obcięcie“ sylaby odczuwalibyśmy, gdyby te wiersze istotnie były oparte na wskazywanych przez Furmanika jednakowych stopach — jako że psucie rytmu. Tymczasem nie jest tak; wiersze owe mają piękne, pełne brzmienie, w którym nic nie brakuje i niczego nie jest za wiele. Niechby ktoś spróbował ułożyć rytm, kałując owe sylaby nadliczbowe, albo uzupełniając stopy „obcięte“. Otrzymalibyśmy albo nową kompozycję o odmiennej idei, albo kakofonię.

Twierdzenie, że sylaba akcentowana jest „konstytutywnym“ czynnikiem stopy, jest słuszne z tym zastrzeżeniem, że jeżeli chcemy wie dzieć, ile i z której strony łączy się z nią sylab nieakcentowanych, które tu mają znaczenie nie mniej „konstytutywne“ — przynajmniej w wierszach sylabicznych i sylabo-tonicznych.

Nie można w sposób bezceremonialny dzielić wyrazów między różne stopy. Dzielić się tak zawsze wyrazy czterozgłoskowe i dłuższe. Jeśli dzielimy zbyt często wyrazy trzyzgłoskowe i krótsze, sprawa jest podejrzana i należy zastanowić się, czy stosujemy dobrą zasadę podziału rytmicznego. Wiersz

Za moich młodych lat — Piękniejszym był świat — Jaśniejszym wiosny dzień! — Dziś nie ma takiej wiosny — ma wyraźną budowę: amfibrach + jamb + pół jambu (tam, gdzie jest rym żeński, ma my cały jamb). I nie potrzeba rozrywać ciągle wyrazów i ich kawałki zlepiać w sztuczne stopy: Dziś nie — ma ta — kiej wio — sny, ażeby wiersz przemocą wtłoczyć w szeregi jambiczne. Lepiej przyjąć budowę różnostopową, bardziej zgodną z przedziałami międzywyrazowymi. Łoś pisze („Wiersze polskie...“, str. 165), że w 1781 r. ks. Tadeusz Nowaczyński wydał książkę „O prozodii i harmonii języka polskiego“. Twierdził on, że zasadą budowy wiersza są stopy (jednorodne) i że granice stóp winny przypadać właśnie w środku wyrazów. Np. wiersz, złożony z amfibrachów, czytał No-

waczyński ściśle daktylicznie, traktując pierwszą sylabę, jako „odbitkę“:

„Od — wiecznym na — kazem mo — narsze swo — jemu wy — rządać ho — nory wsze — lakie każ — demu po — winni pod — dani do — pieroż do — bremu“... Przytaczam te osobliwe staroświeckie pomysły celem wpojenia dzisiejszym myślicielom wersyfikacyjnemu szacunku dla całości wyrazu.

Stanowczo autor przecenia znaczenie układu graficznego. Układ ten odgrywa rolę jedynie wskaźnika, ułatwiającego czytanie, lub recytację. Jednakże dobry recytator ma swoją koncepcję odtworzenia i może się z układem graficznym wcale nie liczyć. Utwory literackie są utworami językowymi, nie graficznymi i pełne ich życie rozpoczyna się w sferze wygłaszania i słuchu. To,

co ma znaczenie dla oczu, nie ma znaczenia dla literatury. Ciekaw jestem, czyby autor, słysząc recytowane wiersze, zawsze umiał zgadnąć, w jakim układzie graficznym są one wydrukowane? Z nowoczesną poezją byłaby to trudna sprawa, przy znanych kapryśkach poetów i grafików. Furmanik, stwierdzając (moim zdaniem b. niewielką) doniosłość układu graficznego, parę stron dalej sam ten układ lekceważy, traktując sonet J. Jankowskiego jako utwór czterowierszowy.

Pewien związek z układem graficznym ma zagadnienie rytmu. Fraza zowanie w wymowie, tj. wznoszenie i opadanie tonu głosu, nie jest czymś innym tworzącym rytm. W mowie i tworach językowych rytm zawsze polega na powtarzaniu się pewnych układów akcentowych. Ta podstawa rytmu może ulegać modyfika-

cją; niektóre z nich poruszaliśmy, mówiąc o akcencie deklamacyjnym; w grę wchodzi np. sprawa tempa, które zależy od składni i treści wyrazów i od ich brzmienia (np. wyrazy trudne do wymówienia, zbitki spółkowe itp. — tempo opóźniają).

W wierszach o tradycyjnej, „klasycznej“ budowie, opartej na powtarzaniu się tej samej liczby głosek — porzeba dostosowania się do wybranej formy rytmu mogła mieć wpływ na składnię. Dobry poeta zawsze dbał o to, żeby jego składnia była rytmiczna, uzgodniona z członami muzycznymi — ale zarazem urozmaicona i swobodna, wyraźnie poddyktowana planem artystycznym, przeżyciem i ekspresją. Wybór rodzaju rytmu i jego modyfikacje płynęły z tego samego źródła, co składnia, tj. z poetyckiej koncepcji. „Mój świat“ Kasprowicza daje już rytm

„luźniejszy“, ale nie jest on oparty na frazie, bo coraz to widzimy, że frazy idą swoją drogą, a rytm swoją. Złudzenie, że fraza może odgrywać jakąś poważniejszą rolę w wierszu „nowoczesnym“ powstało stąd, że to właśnie składnia odgrywa w tym wierszu decydującą rolę, frazowanie zaś jest zjawiskiem wtórnym i zależy od składni. Tak czy inaczej, rzecz sprowadza się znów do zespołów akcentowych, którymi są zdania i człony zdań.

Książka St. Furmanika, obok uwag nasuwających zastrzeżenia, zawiera sporo zastanawiających myśli. Autor rozpina ramy „całokształtowego“ ujęcia dźwiękowej strony poezji (prócz badania barwy wyrazowej oraz melodyjności wiersza) i wypełnia je rozważaniami, zdradzającymi duże odczytanie w tym przedmiocie i jego przemyslenie. T. Dworak

Artur Hutnikiewicz

KRONIKI ASSYZU

Z oficyny drukarskiej zasłużonej firmy Książnica - Atlas wyszła na świat w czerwcu 1947 r. niepozorna, stu nawet stron nie licząca, ale przyjemnie, ze smakiem wydana książeczka — „Kroniki Assyżu“^{*)}. Autor, Roman Brandstaetter, napisał ją w Rzymie w tymże 1947 roku. Książeczka poczęta w Wiecznym Mieście, wydrukowana w polskim Wrocławiu, a przynosząca z sobą zapach i tchnienie dalekiej ziemi umbryjskiej, — wegetuje dotąd na półkach księgarskich nie zauważona jako przez krytyków i czytelników, z wielką szkodą dla odbiorców literatury poważnej. Mała książeczka ma bowiem w sobie przedziwną siłę pokrzepiającą.

Genealogia jej łatwa do odczytania z rozlicznych wzmianek autobiograficznych, rozsypanych po różnych stronicach tekstu. Zbiorek szkiców, impresji, obrazków wyrosłych z zachwyty dla miasta i pustelni św. Franciszka, ma charakter wybitnie osobisty. Droga, która zawiadła autora z płonącej Warszawy do zacisznych ogrodów Percjunkuli, to droga milionów ludzi dobrej woli, dla których wojna ostatnia była przeżyciem duchowym, decydującym o kierunku życiowych dążeń na całą przyszłość. Dla autora wymienionej tu książeczki drogowskazem wyznaczającym kierunek stał się Assyż. Wytyśmaczeniem przedziwnej tajemnicy, że wędrowcowi przybywającemu z bezdroży Azji, Afryki i Europy dopiero tu, w małej, wśród gór skalistej Umbrii zagubionej miejscinie, odsłonił się istotny sens życia, są medytacje w „Kronikach Assyżu“ zawarte.

W czym zawiera się zniewalający duszę urok i czar Assyżu? Na tle piękła dni naszych, na tle rozszalałych namietności, zbrodni i nienawiści Assyż jaśnieje jak oaza świętości i modlitewnego skupienia. „Ci-

żo jest treścią Assyżu i jego duchową architekturą“. I ta cisza, to modlitewne skupienie, przedziwna bliskość nieba wiecznie lazurowego, które jest integralnym elementem architektury miasta, wszystko to sprawia, że nikt tu nie czuje się samotny, że nie ma tu ludzi bezdomnych, że wszystkich ogarnia tu „radosna świadomość bezpieczeństwa i poczucie domowego ogniska“, a „ci, którzy w codziennych starciach z losem zagubili melodię swojego życia, tu ją z powrotem odnajdują...“.

Assyż jest też może jedynym miejscem na świecie, w którym przeszłość tak mocno wrasta w teraźniejszość, że staje się niemal dniem dzisiejszym. W Assyżu mówią ludzie o cudach św. Franciszka codzień, tak żywo i z takim zainteresowaniem, jak gdyby dotąd istniał, cieleśnie, przebywał wśród nich. Ślady Bożego Śpiewaka są bowiem tu widoczne we wszystkim: w krajobrazie, w ludziach, w zjawiskach przyrody, w zdarzeniach i przedmiotach. Nie dająca się słowami określić świętość tego miejsca sprawia, że nawet burze nawiedzające okolice Assyżu zdają się być pozbawione „dramatycznych akordów i grozy rozpętanych żywiołów.“ W ogrodach Percjunkuli kwitną purpurowe róże, którym Peverelle odjął — według legendy — drapieżność i ostrość kolców. Profesor Taddel, generalny konserwator i kustosz zabytków Assyżu, ma w sobie coś „z postaci świętego Franciszka każącego do ptaszków na fresku Giotta“, a wielki monografista św. Franciszka, Szwed Joergenson, osiemdziesięcioletni starzec, który po latach wojny spędzonych w Szwecji znowu powrócił do Assyżu, „ojczyzny swojego ducha“, ma twarz podobną do twarzy Poverella z fresku Cimabuego. W latach wojny kilkakrotnie ciche miasteczko znalazło się w bezpośrednim kręgu działań bojowych, lecz za każdym razem ocalała je Tajemna Moc. Pułkownik Wehrmachtu Müller, wojenny komendant Assyżu w okresie okupacji niemieckiej, przejęty uwielbieniem dla św. Franciszka, oszczędza bógostawione miasto w czasie odwrotu, wydając zakaz burzenia i palenia domów assyjskich. Lotnicy angielscy, kilkakrotnie wylatujący z Malty z rozkazem zbombardowania miasta, za każdym razem otrzymują w najbliższym sąsiedztwie Assyżu telegraficzny nakaz odwrotu. „Ani jedna bomba nie padła na Assyż“.

Celem „Kronik Assyżu“ nie jest jednakże utrwalenie w słowie obrazu miejsca, które zachwyliło sko-

łatanego pielgrzyma przedziwną harmonią pomiędzy niebem, ziemią i człowiekiem, żyjącym tu od wieków w zaczarowanym kręgu zawsze obecnej świętości. Zewnętrzny urok miejsca i wyjątkowa atmosfera wypełniająca kopułę nieba nad nim rozpostarta, nie tłumaczyłyby jeszcze dostatecznie owego modlitewnego, żarliwego uwielbienia, jakie bije z każdego wiersza książki. Sens Assyżu jest głębszy. Dla Brandstaettera Assyż — to symbol pewnej postawy wobec życia, pewna idea, światopogląd. W Assyżu bowiem żyje do dziś św. Franciszek, w życiu św. Franciszka zawarte są prawdy doniosłego znaczenia.

Święty Franciszek zdobywał swoją świętość w trudzie i w walce. Broił się przed mściwym gniewem ojca, który nie rozumiał całkowitej abnegacji syna w rzeczach tego świata i nie był zdolny pojąć, że droga do całkowitej wolności wiedzie przez ubóstwo i zakucie się w kajdany etyki bezwzględnej. Walczył z inercją i opieszałością braci zakonnych, których tak przerastał i zadziwiał ów jedyny, niepowtarzalny na przestrzeni dziejów cud naśladowania Boga, że go pojąć nie mogli i należycie zrozumieć. Życie Franciszka to była walka światła z naporem ciemności.

Otóż ten napór ciemnych mocy trwa dotąd, a w naszych czasach osiągnął apokaliptyczne wymiary. Zachować wobec ruin i zbrodni dzisiejszego świata miłość Boga, wiarę w mądrość człowieka i w ostateczny triumf dobra, ocalić w sobie „ostatni strzęp godności“ — oto czego nas uczy Assyż, miasto franciszkańskie. Assyż uczy nas też odkrywać i rozumieć sens głębszy cierpienia i tragedii współczesnego świata. „Najwyższą łaską i darem używanym przyjacielom przez Ducha Świętego jest łaska zwyciężania samych siebie i znoszenia trudów, hańby i obelgi gwoli miłości Chrystusa“. Tak mówił kiedyś ojciec Franciszek do brata Leona, a prawda tych słów nie wyblakła i nie straciła nic ze swej wartości po siedmiu wiekach.

Jest ukrytym, wprost nie wyrażonym, ale oczywistym i narzucającym się czytelnikowi założeniem książeczki Brandstaettera próba przybliżenia nam, pokoleniu dwóch wojen, tamtego, odległego świata, którego symbolem jest Assyż. Dziś więcej, niż kiedykolwiek, trzeba nam wracać do prawd przekazanych w księdze „Fioretti“. W jednym z najgłębszych rozdziałów książki, zatytułowanym „Ereme dei Carceri“, przytacza autor znaną powszechnie

opowieść o nawróceniu wilka z Gubbio. „Misterium, które dokonało się w Gubbio między świętym Franciszkiem a drapieżnym wilkiem — pisze autor — jest dziś dla ludzi sprawiedliwych zawołaniem bojowym“, jest „obok wielu przykładów ewangelicznych klasycznym wzorem dla naszych pedagogicznych poczynań“. Obłędem naszych czasów jest nienawiść. „W obliczu szaleństwa cesarzy i ich bogów, jak moloch pochłaniających ofiary ludzkie, nienawiść do grzeszników staje się myślą przewodnią wielu ludzi, może nawet całego pokolenia, nie mogącego się pogodzić z bezmiarem powszechnego bestialstwa. Wydaje się nam, że nienawiść do złego człowieka musi być większa i silniejsza od samego zła po to, by padło ono skruszone i pokonane“. Assyż i cud życia św. Franciszka odsłania nam całą beznadziejną bezowocność i próżność naszych zabiegów, dopóki poprzez nienawiść dążyć będziemy do ocalenia świata. „Świat jest borem pełnym wilków. Ci, którzy weszli w bór, by tępić nienawiść za pomocą nienawiści, wracają z boru zarżnięni przekleństwem zła. Złego człowieka nie wolno nienawidzić. Trzeba go leczyć jak trędowatego. W puszczy Europy, między ludożerców tylko pozornie ucywilizowanych, powinni iść misje ludzi dobrej woli, orężne w święte prawo Dekalogu i w słowo Ewangelii, celem oswojenia bestii ludzkiej i zakucia jej w żelazną dyscyplinę ewangelicznej etyki“. „Żołnierze słowa Pańskiego stoją dziś u progu nowej, wielkiej pracy misyjnej. Świat czeka na misjonarzy Ducha Świętego. Czekają na Prostaczka, który natchnie człowieka łaską przewycięzania samego siebie i duchem prawdziwej pokory. Widzimy w snach, jak przed wiekami papież Innocenty III, drobną postacią człowieka podtrzymującego z nadludzkim wysiłkiem pękające mury naszej cywilizacji. Gdy człowiek ten przyjdzie do nas, poznamy go natychmiast po łagodności jego spojrzenia, ewangelicznych łachmanach i prostych słowach, które mówić będzie do ludzi, ptaków i kwiatów. Obojętne jest, skąd przyjdzie i z jakiego narodu. Byleby zrzuciwszy z siebie bogaty strój i precz cisnąwszy majątek, jedynie w płaszczu i sandałach poszedł między kainów i tłumaczył wszystkim ludziom, że nienawiść jest zbrodnią przeciw Bogu i człowiekowi, a zbrodnia ta jest zagładą człowieczeństwa. Niechaj dzieje do gabinetów ministrów, między zbrojne oddziały ludzi złej woli, w pola naftowe, ociekające ludzką

krwią, na targowiska dusz i ciała, do żydowskich dzielnic programu, do domów linczowanych murzynów, do więzień, do ziemi katongi, do drapieżnych chmur, do kopalń, do wytwórni bomb atomowych, niechaj przemówi do morderców i do mordowanych, do krzywdzieli i krzywdzonych, i niechaj wreszcie przyniesie całemu światu na stygmatyzowanych dłoniach, powtarzających rany Boga — prawo do wolności i spokojnej śmierci“.

„Kroniki Assyżu“ są wyznaniem wiary autora. Ale są też niewątpliwie dziełem sztuki. Autor posiada niepowzedniętą umiejętność ewokowania obrazów o potężnej ekspresyjności i znachodzenia jednego, niepowtarzalnego wyrazu dla każdej myśli, wizji i nastroju. Dzięki tej sile wyobraźni i słowa, zawsze podatnego i zawsze gotowego do wyrażenia zamierzonej treści, jak żywe stają przed nami skaliste wzgórza Umbrii, przytulone do nich stare miasteczko, pionący w blaskach słonecznych klasztor. Jeśli truizmem jest sąd, że każda treść wymaga zastosowania swoistych, dla tematu danego jedynie właściwych zabiegów stylistycznych, to trzeba przyznać, że nie wiele książek realizuje całkowicie ten pierwotny nakaz sztuki literackiej. Autorowi „Kronik Assyżu“ instynkt twórczy poddał właściwy ton. Styl tych kronik w miarę surowy, prosty, to znów patetyczny, wzniosły, dramatyczny niemal, odpowiada prostocie, a zarazem porównawczej wzniosłości tego przedziwnego świata, którego istnienie odkrył autor w murach Assyżu. Na tle stylowego wyjąłowania prózy współczesnej, oscylującej pomiędzy zwyrodniałym barokiem, a bezbarwnym, pozbawionym indywidualnego wyrazu żargonem dnia powszedniego, „Kroniki Assyżu“ Romana Brandstaettera wskrzeszają dawną, dobrą tradycję swoją czystą, nieskażoną, dźwięczną jak szlachetny metal polszczyzną.

Artur Hutnikiewicz

*) Roman Brandstaetter: Kroniki Assyżu. Wrocław—Warszawa, 1947. Książnica - Atlas, str. 93.

DO P.T. PRENUMERATORÓW
Uprzejmie przypominamy o konieczności opłacenia prenumeraty na IV kwartał.
Zamawiających prenumeratę prosimy o wyraźne zaznaczenie na przekazie, że wpłata dotyczy nowej prenumeraty.
ADMINISTRACJA

Nowość Nowość
EWANGELIE
I
DZIEJE APOSTOLSKIE
przeład i komentarz
Ks. Eugeniusza Dąbrowskiego
Cena zł. 250
Albertainum
Warszawa - Poznań - Lublin

TYDZIEŃ KULTURALNY

ZGON PROF. DRA SZYSZKO-BOHUSZA

W dniu 1 października 1948 r. zmarł w Krakowie wybitny architekt i konserwator zabytków prof. dr inż. arch. Adolf Szyszko-Bohusz, dziekan Wydziału Architektury Akademii Górniczo-Hutniczej.

Urodzony w roku 1883, ukończył studia architektoniczne w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. W roku 1909, jako stypendysta Akademii odbył dalsze studia za granicą. Od roku 1910 zamieszkał w Kra-

kanie oddając się studiom nad badaniami architektury polskiej, oraz biorąc czynny udział w pracach Polskiej Akademii Umiejętności na tym odcinku. W roku 1912 zostaje profesorem architektury nowoczesnej i konserwacji zabytków na Politechnice Lwowskiej. W roku 1919 otrzymuje tytuł doktora nauk technicznych na tejże uczelni. Od roku 1916 prof. Szyszko-Bohusz był kierownikiem robót przy odbudowie zamku królewskiego na Wawelu, poświęcając tej pracy 30 lat.

W latach 1927-29 piastował godność Rektora Akademii Sztuk Pięk-

nych w Krakowie. Następnie został powołany w charakterze profesora zwyczajnego na Wydział architektury Politechniki Warszawskiej, a od roku 1945 aż do śmierci pełni obowiązki profesora i Dziekana Wydziału Architektury AGH w Krakowie. Zmarły zostawił po sobie olbrzymi dorobek naukowy, w którym dzieła związane z odbudową Wawelu oraz odkrycia w dziedzinie zabytków architektury polskiej stanowią największą i najtrwalszą pozycję.

JUBILEUSZ P.A.U.

POLSKA Akademia Umiejętności obchodzi w dniach 24 — 27 paź-

dziernika 1948 r. siedemdziesiątą piątą rocznicę swego istnienia.

Uroczystości jubileuszowe Akademii pomyślane są nie tylko jako obchód, mający dać przegląd działalności PAU w ciągu ubiegłych dziesięcioleci, ale zarazem, jako manifestacja wobec swoich i obcych rodzenia nauki polskiej po zniszczeniach dokonanych przez okupację hitlerowską.

Najważniejsze momenty uroczystości przypadają na dni 25 i 26 października r. Rozpocznie je akademie w sali Senatorskiej na Wawelu w dniu 25 października. Następnie

odbędą się posiedzenia plenarne PAU, w czasie których wygłoszone zostaną, przez uczonych polskich i obcych 4 odczyty, ogłoszona będzie lista nowych członków Akademii polskich i zagranicznych oraz lista nagrodzonych za prace, poświęcone wydarzeniom roku 1948. 26 października odbędą się posiedzenia specjalne poszczególnych wydziałów PAU — zaś wieczorem koncert muzyki polskiej w Teatrze im. J. Słowackiego.

W związku ze swym 75-leciem Akademia przygotowała szereg wydawnictw, wśród których na pierwszym miejscu wymienić należy wielkie dzieło zbiorowe „Dzieje nauki polskiej“ o objętości prawie 100 arkuszy druku.

Feliks Maria Nowowiejski

Korespondencja z Poznania

W Państwowej Operze poznańskiej rządzi pięciopięciopięć dyrekcja z prof. Chybińskim, jako człowiekiem sztandarowym. Jak daleko odbiegłszy od czasów, kiedy zasłużony ten badacz dawnej muzyki polskiej pisał swym autorytatywnym piórem:

„Odpowiedzmy na pytanie: dlaczego przeciętna publiczność darzy równą sympatią „Madame Butterfly“ Pucciniego i „Lohengrina“ Wagnera? Dlatego, że nie jest w stanie rozróżnić pozorów artystycznej wartości od rzeczywistości (podkreślenia prof. Chybińskiego — przyp. mój)... Wychowawcze warunki są zależne od przeciwwagi, jaka istnieje między operą i salą koncertową. Jeśli produkcje operowe przewyższają liczebnie, wtedy jednostronność staje się groźną dla muzycznego smaku publiczności... Nie można mówić, iż w mieście, w którym częściej słyszy się operę Pucciniego lub Masseneta istnieje zdrowy i racjonalny kult muzyki... Jest to zazwyczaj cecha niskiej kultury muzycznej, że opera i występy solistów przeważają nad produkcjami symfonicznymi i kameralnymi...“ (Dr Adolf Chybiński „O wychowaniu muzycznym publiczności“, „Przegląd Muzyczny“, Warszawa, rok III, nr 10, str. 11).

Wygłaszając wyżej cytowane teorie, w praktyce prof. Chybiński stanął na czele instytucji nader „groźnej dla muzycznego smaku“ poznańskiej publiczności, bo przecie Opera nasza wykonuje swoje produkcje codziennie, podczas gdy koncerty symfoniczne mają się odbywać najczęściej raz na tydzień, a kameralne — dwa razy na miesiąc. W sumie daje to obraz dopiero co opisanej „niskiej kultury muzycznej“. Na dobitkę z tego prof. Chybiński zaczyna swoją działalność od wystawienia w Poznaniu właśnie „Madame Butterfly“, owego „porozu artystycznej wartości“. Krążą wieści o premierze „Turandot“ tego samego Pucciniego, którego piętnował prof. Chybiński jeszcze w numerze „Przeglądu Muzycznego“ z dnia 15 stycznia 1919 na str. 7 — jako „pasorzytniczą egzystencją“. Czyżby nastąpiło rozdzielenie osoby Adolfa Chybińskiego na profesora i dyrektora? — Myślę, że może po prostu ten drugi naprawia teraz błędy muzykologa, który — jak to często bywa — nie poznał się był na światowym, może nawet genialnym talencie operowym autora „Cyganerii“. Tak tedy, mówiąc językiem Goethego, teoria jest szara, a drzewo życia — wiecznie zielone. A negatywny stosunek do sztuki operowej w ogóle — zawsze można polepszyć — na stanowisku dyrektora.

Oprócz Pucciniego usłyszymy w najbliższej przyszłości „Legendę o Marii“ Martinu. Będzie to zresztą jedyna nowość dla Poznania, gdyż tamte dzieła — jak również zapowiedzianą „Goplana“ i „Opowieści Hoffmana“ Offenbacha — znamy dobrze z czasów przedwojennej naszej kultury operowej. Na razie tedy plany nowej dyrekcji nie wykazują niczego szczególnie rewelacyjnego.

Już odbył się koncert inauguracyjny sezonu 1948/49 Filharmonii Poznańskiej. Orkiestra w sile 70 osób pod wyborańcą batutą Wisłockiego, blask występu trzech pianistów: Drzewieckiego, Elckera i Hoffmana, grających Koncert C-Dur Bacha na trzy fortepiany — wszystko to nie powstrzymuje od zapytania: dlaczego rozpoczęto sezon akurat... Niemcami? Nie przeczę, że Bach jest dobrem całej ludzkości, ale dlaczego

zaraz obok niego na programie — Johann Brahms? Typowy to — razem z Wagnerem — przedstawiciel umysłowości germańskiej — autor triumfalnej ody na zdobycie Paryża przez Niemców (opus 55). Muzykę polską reprezentował tylko Perkowski, wywierając silne wrażenie „Kościółem Panny Marii w Toruniu“. Czy nie było jeszcze dalszych dzieł polskich do dyrygowania? Czy wielkich zresztą klasyków niemieckich nie można było z powodzeniem ułożyć na innym programie, nie na tradycyjnej inauguracji? Przez długie 6 lat okupacyjnych wolno było grać muzykę „made in Germany“ — ile dusza zapagnęła. Za to muzyka polska musiała milczeć. Hitlerowcy uważali ją za mało wartościowy produkt „niższej rasy“. Teraz może kierownictwo Filharmonii nie

uważa tej muzyki za godną wypełnienia inauguracyjnego programu — i to w Poznaniu, kulturalnej stolicy Polski zachodniej? Mniej więcej narodowej dumy i inny stosunek do rodzimej twórczości!

Refleksję tę można snuć dalej. Wprawdzie jednym z głównych zadań Filharmonii będzie w nadchodzącym sezonie — podobnie jak w ubiegłym — zapoznanie nas z twórczością jej dyrektora (ogłoszony w prasie plan repertuarowy dalszych koncertów przewiduje już szereg kompozycji dyr. Szelińskiego), ale z polskiej symfoniki zapowiedziano, jak dotąd, jeszcze tylko Wisłockiego „Koncert fortepianowy“, „Uwerturę“, Bacewiczówny, „Suite“ Spisaka i Karłowicziana z okazji 40-lecia śmierci w lutym. Gdzie są nazwiska innych kompozytorów pol-

skich? Gdzie od dłuższego czasu proskrybowany w Poznaniu Paderewski, gdzie Różycki i starsze pokolenie? A jak przedstawia się sprawa z młodszymi symfoniczami? Dwa punkty — Bacewiczówna i Spisak — na pewno nie wyczerpują możliwości pokazania nam polskiego dorobku w tej dziedzinie — oprócz twórczości pracowników Filharmonii. Oby tedy enuncjacje tej instytucji uległy co rychlej zmianie w kierunku szerokiego planu uwzględniającego opus polski — zarówno historyczne, jak i współczesne.

Kultura choralna Wielkopolskiego Związku pozwala Filharmonii na pełnowartościowe formy oratoryjno-kantatowych, z czego Poznań słynął przed wojną. Dyrektorem artystycznym Związku ma zostać głowa Filharmonii. Usłyszymy przede wszy-

stkim „Kantatę olimpijską“ Szelińskiego, „Wiosnę“ Poradowskiego, „Nową Ojczyznę“ Griega, „Ne ustępujcie“ Kabelacza, szereg wznowień i t. d. W okresie wakacyjnym Filharmonia wystąpiła w Łagowie — jak donosi prasa — w otoczeniu chóru wiejskiego z Dopiewa i zespołu tanecznych Ziemi Lubuskiej — w celu upowszechnienia sztuki, zasługującego na szczyry pochłask. Nowością regionalną jest projekt uczenia chłopca z Włoszakowic na klarnecie, aby mógł później grać na dudach. Nauki udzielać będzie jeden z muzyków Filharmonii. Jest tedy nadzieja, że piękna tradycja ludowa nie wygaśnie.

W Państwowym Teatrze Polskim zajął pozycję dyrektora — Horzyca. Oficjalne otwarcie sezonu nastąpi niebawem. Na razie odbywa się w teatrze „Seans“ Cowarda, grany naprzemiennie z „Wilkami w nocy“ Rittnera, Rzeczy te Warszawa zna. Tak tedy szczegółowe omówienie aspiracji teatru odkładamy do inauguracji, notując dziś tylko radykalną zmianę całego personelu aktorskiego. Państwowy Teatr Nowy rozpoczął „Chorem z urojenia“. Nie powiedziałbym, żeby wspaniały Molier stanowił łatwy temat dla inscenizatora. Wydaje mi się, że właśnie sztuka z innej epoki, a więc siłą rzeczy zawsze choć trochę przybladła — wy maga nadzwyczajnych pomysłów dekoratorskich, kostiumowych, reżyserskich, choreograficznych i muzycznych, jednym słowem makijażu, który by jej przywrócił rumieńce i życie. Tymczasem pod wymienionymi względami przedstawienie nie wykraczało poza ramy pewnego szablonu. Na razie jednak wdzięczni jesteśmy za klasyczną komedię, przygotowaną w warunkach podobno jeszcze przedsubwencyjnych. Może dopiero premiera — „Cyrano de Bergerac“ (ze Szczerbowskiem w roli tytułowej) — podnieśnie tegoroczny teatr do poziomu wzorowych „Nocy gniewu“ Salacrou w ubiegłym sezonie. Fertner jako chory z urojenia — mimo wybitnej wirtuozerii wszystkich swoich gier — był dobrodusznym starowiną bez arganowskiej historii człowieka, który żyje lewiatywą. W roli pokójki — szelmutki wyróżniła się Kiernikówna.

Z innych wiadomości: Naczelnikiem kultury i sztuki miasta Poznania został niezwykle utalentowany malarz, Alfred Lenica, zarazem sprężysty organizator. W Związkuwym Salonie Sztuki gościmy znaną także w Warszawie — pouczającą wystawę młodej plastyki czechosłowackiej, syntetyzującej doświadczenia kubizmu i surrealizmu, konstruktywnej i zarazem działającej emocjonalnie (kierownik Salonu: Zygfryd Wieczorek). Teisseyre wygłasza odczyty. Katedra Poznańska (tam, gdzie leżą prochy Mieczysława I i Bolesława Chrobrego) powoli odbudowuje się, przybierając swój pierwotny, gotycki kształt. Bardzo to ważna akcja architektoniczna. Poza tym na razie nic nowego w naszej sztuce wizualnej, jeżeli nie liczyć wracej po pracownikach — roboty przed stalugami. Z literatury osiedli w Poznaniu: Hlakowiczówna, opowiadając o swoim pobycie na Węgrzech i Runnuni, oraz Brandstaetter, przewidziany na głównego redaktora nowego pisma pod staromodnym tytułem „Echo teatralno-muzyczne“.

Reasumując: jednak będzie warto pisać o sezonie kulturalnym w naszym mieście.

Mieczysław Markowski

Feliks Maria Nowowiejski

Wędrowki po scenach polskich

Nieudany start Teatru „Małego“

Jedną z powszechnych kłesk społecznych jest zbytnia łatwość z jaką się wystawia czele bez pokrycia. Ledwie cierpliwi uczestnicy konferencji prasowej, urządzonej przez Miejskie Teatry Dramatyczne zdołali ochłonąć z lawiny obietnic złożonych przez Józefa Maślińskiego, kierownika literackiego trzech scen, poźrestowano ich „Podróż Pana Perrichon“ premierą, która stanowi zupełne zaprzeczenie treści tamtej okropnie długiej i sztucznej oracji.

P. Maśliński powiadał nam wów czas, iż nad pracą każdego z trzech miejskich scen („Rozmaitości“ pracują autonomicznie) czuwa kierownik artystyczny odpowiedzialny zarówno za dobór repertuaru, jak i za poziom spektaklu. To oświadczenie bardzo nam się przyda. Wiemy przy najmniej do kogo personalnie możemy mieć pretensje za niespodziankę: tego rodzaju, jak ostatnia premiera w „Małym“.

Odpowiedzialnym za prace teatru „Małego“ jest, prócz Poredy i Maślińskiego, Czesław Szpakowicz.

Oskarżenie ma już więc swego adresata. A treść oskarżenia jest taka: pokazano nam źle zrobioną bzdurę, dla której nie warto było trudzić ani zespołu, ani widzów, tym bardziej, że widownia ta ma według innych oświadczeń, składać się w dużym procencie z ludzi pracy.

W dziejach literatury każdego narodu znajdują się „klasyki“ typu Scribela, czy Labiche’a. Postawiłem słowo: klasyki, w cudzysłowie z pełnym rozmysłem. Rzecz bowiem polega na tym, że nieśmiertelność Labiche’a we Francji wynika nie z wielkiej wartości stworzonego dzieła, ale z tego, że dzieło to podobalo się dużej części społeczeństwa, a dziś stanowią pewien zabytek, pewien przyrostek do badania obyczajowości epoki Labiche’a.

W Polsce takich „klasyków“ znalazłoby się z pół kopy. Jeszcze niedawna grywano u nas „Kościuszkę pod Racławicami“, jeszcze dziś z przyjemnością oglądamy (zwła-

*) Teatr Mały — Labiche: „Podróż Pana Perrichon“ — komedia w 4 aktach.

szcza w dobrych przeróbkach) „Królów Przedmieścia“, „Krakowiaków i Górali“ i t. p. Nikomu jednak w Polsce nie przyjdzie na myśl, by klasykę „Tiryka w zalotach“ uważać za klasykę powszechną. Bałucki, Zabłocki, Przybylski i t. p. są lub będą klasykami wyłącznie w Polsce, na wyłączny nasz, polski, użytek.

Labiche uważany jest we Francji za klasyka, nie znaczy to wcale by za takiego miał być uważany w Polsce.

Zenujące, że tę sprawę trzeba tłumaczyć kierownikowi literackiemu teatru.

Nie dziwię się, że do Labiche’a chętnie wracają Francuzi, nie dziwię się, że sztuki jego wystawia się w najlepszych teatrach Francji. Wydaje mi się jednak, iż tylko nieopatrznie zasugerowanie się zielonym frakiem autora „Słomkowego kapelusza“ i skłonność do mało wnikliwego kultu dla słowa: „klasyk“, dopiętego do czyjejś nazwiska w podręczniku historii literatury innego kraju, może komuś w Polsce podsuwać myśl, aby na naszych scenach wystawić „Podróż Pana Perrichon“.

Przyjął się u nas zwyczaj tłumaczenia każdej pozycji repertuarowej względami społecznymi. Jeśli ich w istocie nie ma, tłumaczący łapie je z powietrza i beztrudnie przysypia do sztuki na użytek łatwoumyślnych. Niestety, ciele, któremu sztucznie przyprowadzi się skrzydła na pewno fruwać nie będzie.

„Podróż Pana Perrichon“ bronio na jest określeniem: satyra na mieszczaństwo.

Akcja komedii związana jest istotnie z życiem mieszczaństwa. Szanowni tłumacze „Podróży Pana Perrichon“ na język aktualności społecznej zapominają jednak o jedne drobnej sprawie: Perrichon z równym powodzeniem zmieścił się w każdej klasie społecznej, albowiem sympatia dla tych, którzy muszą nabyć wdzięczni, a niechęć do tych którym my musimy być wdzięczni to cecha, nieestety, ogólnoczułowiec: nie związana z jakąś socjalną klasą. Z satyry na mieszczaństwo, pozostają więc w komedii tylko naiwne, w spektaklu przerysowane, pod-

rygi typowo małowieszczańskiego savoir vivre’u. Z równym powodzeniem można by twierdzić, że „Podróż Pana Perrichon“ jest satyrą na... wojsko. Słyszmy bowiem słowa: „żaden pułkownik nie poprawia błędów gramatycznych“. Wszystkie sformułowania o społecznej przydatności tej komedii, która rzekomo ma oświecać mieszczaństwo są bardzo naciągane...

„Podróż Pana Perrichon“ ma swoją społeczną przydatność. Owszem. Ale zupełnie inną. Wskazuje — jak to słusznie zauważył W. Natanson — ludzką niewdzięczność. Założenie bardzo piękne. Niestety wykonanie kiepskie. Słuszność głoszonej tezy nie usprawiedliwia partackiej roboty pisarskiej i nie upoważnia do zanudzenia ludzi naiwnymi perypetiami naiwnych osób. Być może, iż to było bardzo dowcipne 75 lat temu. Dziś cała historia nudzi, nuży i gniewa. Dziś tę treść zamknęłoby się w jednoaktówce i to by było aż nadto.

Wykonawcy zechcą mi wybaczyć, że niewątpliwie ich wysiłek pominię milczeniem. Jest mi niezmiernie przykro, ale nie potrafiłbym pisać pochwał dla najbardziej pracowitego robotnika, gdyby jego praca polegała na przelewaniu z pustego w próżne. Jednym z postulatów stawianych pracy wartościowej jest jej celowość. Tutaj celowości tej absolutnie nie widzę. Na marginesie tylko pragnę przypomnieć, że farsa uważana przez aktorów za prawdziwego zdarzenia za najbrudniejszy do gry rodzaj utworu scenicznego. Sądzę, iż np. p. Fertner na pewno tezę tę potwierdzi.

Teatr „Mały“ wystartował bardzo źle. W repertuarze tej sceny na sezon 1948/49 znajduje się ledwie pięć premier. Pierwsza z nich okazała się niecelową, nikomu na nic nie przydatną.

Pora się dobrze zastanowić nad oozostaliśmy czterema. Pora zdać sobie sprawę, że gadanina o rzeczach wzniosłych nie może być uznana za egzytymację wyrobienia społecznego. Jeśli w ślad za obietnicami nie idzie godna z ich treścią realizacja,

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Bałk)

21

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Czelepiński czuł, że nie można tego dnia, który minął, na nowo zaczynać w myślach, w wyobraźni. Że trzeba wobec wydarzeń dzisiejszych zachować szeroką politykę, pozwolić im zaginać, nie starać się ich zapamiętać. Wiedział, że wróca same, narzuca się raz jeszcze, to mu dawało niefrasobliwość. Nie zapalając światła, runął na łóżko.

Tak, no tak. Tadeuszowi nie chciało się następnego dnia iść do Włuk, z Włuk też nikt nie przyjeżdżał. Tak minął cały dzień, w fotelu na balkonie, na ławeczce pod grządką, na włóczkach nad stawami. Na niczym, na myśleniu. Dzień powolny, jakby zapadły w grzęzawisku czasu, który gdzie indziej może toczył się szybciej, ze swoją szybkością bezwzględna, atrakcyjną bądź co nie bądź, choć tak nieoczuła, tak obojętna dla spraw ludzkich; tu był powolniejszy, jakby się sam zainteresował wydarzeniami, jakby chciał się nad nimi zastanowić. Tadeuszowi jednak nie chciało się myśleć. Jedyne do czego doszedł, było stwierdzenie, że Alex powinien się ożenić z Danusią. Tuż przedtem, nim się pożegnali, pół serio, jakby do siebie, powiedziała, że jest za młoda na to, aby być czyjąś kochanką. „Może się to panu wyda parafiankie — rzekła — zaśnieździłaś nawet. Ale tak jest. Mnie nie chodzi o zabezpieczenie bytu, ostatecznie, skończyłam ogrodnictwo i dam sobie radę. Idzie o ramy, tak myślę, że o ramy”. Tadeusz nie miał żadnego zamiaru występować przeciw małżeństwu, raczej przez przekorę musiał zaprotestować — i nie stanowczo, a z rodzajem nagle wynikłej wątpliwości.

— Czy to jest konieczne?

— Bo ja wiem, jak rzecz wygląda w zasadzie? Mnie się jednak wydaje, że położenie kobiety, która jest tylko przyjaciółką mężczyzny, jest bardzo zawiste, mimo wszystko niewolnicze. Na pograniczu między niewolnicą a utrzymanką... Małżeństwo daje pewną niezależność, likwiduje terror kaprysu we wzajemnych stosunkach.

• — A jeśli jest nie do wytrzymania?

— Stawia pan pytania jak w katechizmie. Wtedy należy je zerwać, po prostu zerwać.

Pokręcił głową, sprawa nie wydawała mu się tak prosta. Dobrze tak mówić. Teorie formułuje się w sposób indukcyjny. I tu zaraz, najbliżej siebie — Monika. Nie, nie można by zerwać — aż się zdziwił, że o tym myśli. Alex powinien się ożenić z Danusią, nie z uwagi na jej teorię małżeństwa, teorię miłości. Byłoby to trochę romantyczne małżeństwo. Alex, nieco zdegustowany, popsuły psychicznie w specjalnym znaczeniu: nie dostrzegający na długi w niczym radości, nie wierzący w nikogo, zaczynając od siebie. Niezadowolony z Jadowic, ze swego położenia w życiu. „Po prostu typowy — ocenił Tadeusz — przedstawił klasy pobitej, schodzącej z pola. Ona — nie, jeszcze pełna energii, trzeźwa. Swoją drogą, trzeźwość kobiety...“ Powinni się pobrać, chociaż, czy takie rzeczy można kleić w sposób przymusowy? Ogarnęło go zwątpienie. Może los leżał gdzie indziej? Tadeuszowi nie podobały się nigdy blondynki, co za głupstwo. Jakby istniały pod tym względem jakiejkolwiek reguły. Don Juan nie rozróżniał kobiet inaczej jak na te, które mu się podobały i — wszystkie inne. „Ale ja nie jestem don Juanem“ — roześmiał się do siebie. Po dniu wczorajszym został mu jakiś osad, coś ciężkiego na piersiach, coś dławiącego. Jak po wódce, ciężka szumiąca głowa. Regularny, prosty tryb życia uległ zakłóceniu, Tadeusz był tego świadomy: nie mógł nie myśleć o Danusi. Przede wszystkim, jej postać narzucała się wyobraźni. Głos, usta — miękkie i suche. Powtarzał te jej słowa, które zapamiętał. Było w niej tyle nowego, Tadeusz musiał sobie powiedzieć, że odwykł od młodych dziewcząt. Dziwił się, nawet był zgorzony, że łapczywie przyjmowała to, co jej mogło pachnieć w jakimkolwiek stopniu. Z wyrozumiałością, znajdował tyle powodów, by ją rozgrzeszyć. W pewnej chwili, gdy idąc przez las, zbiegali z góry, drogą w terenie gliniastym, popękana i suchą, ujął ją pod rękę. Biegli razem, śmiejąc się głośno. Nie

było na niej widać fizycznego zmęczenia, może dopiero pod koniec, tuż przed Zapaśnikami, gdy przechodzili przez strumień pod klasztorem. Ani kropelki potu na czole, skóra na obnażonym ramieniu sucha i chłodna, wrazenie zupełnej świeżości, elastyczności. Klasztor na zboczu wzgórza, zakryty starymi świerkami, modrzewiami, z cichą dzwonnica, wieżyczka przebijała się poprzez zieleni jak czerwona igła. Przechodziło się niżej, pod klasztorem, potem droga wspina się, obrzucała klasztor pięłą. Chciał Danusię znowu zobaczyć, policzył na palcach dni do niedzieli — jeszcze tyle dni. Zrobiło mu się ciasno na Żarach, nazbyt spokojnie. Zanim to bez burzy.

Dopiero nazajutrz wybrał się do Włuk. Krystyna znajdowała, że Alex jest miły, ale trochę śmieszny. „Śmieszny?” — zdziwił się Tadeusz. „Ależ dlaczego?” Nie umiała tego sformułować. Nie umiał z nią rozmawiać o Danucie, to nie był dla niej temat. Raczej z Ksawerym. Powiedział, trochę od niechcenia, że zapowiedział Danusi, iż w następną niedzielę przyjadą obaj z Alexem.

— Obawiam się, że pojedziesz sam. Alex dziś wyjechał do Warszawy.

— Hm — zastanawiał się Tadeusz. W gruncie rzeczy był nawet zadowolony z tego obrotu sprawy, bo najlepiej zawsze się rozprawa o zwierzenia. Mając tylko jednego człowieka przed sobą, mówi się jakby z nadzieją, że to nie będzie ogólnie znane, że to, co powiedziane, zaginie w słuchaniu. Może trochę z uwodzenia, jakaś nuta bardzo osobista, akcent przekonywujący, nastroj porozumienia, znożenia. Trzecia czy czwarta osoba w takiej rozmowie właściwie nie może brać udziału, z góry ma przeczona rolę, rolę intryganta. Odczuwa, że zaufanie nie jest jej przeznaczone, wnosi wątpliwości, osłabia. Było lepiej, że Alex wyjechał.

Krystyna odwoziła wieczorem Tadeusza na Żary, było chłodno, namawiał ją, aby wróciła do domu.

— I pocię? — zapytała apatycznie. Ciągle siedzę w domu.

— W końcu — oburzył się — co możecie innego robić. Naturalnie — dodał — w tym społeczeństwie. Co innego kiedyś, w zmienionych warunkach.

Świsnęła biczem w powietrzu, aż konie się targnęły. Ze śmiechem, z hałaśliwą wesołością:

— Kiedyś, naturalnie, kiedyś... Ty wszystko odkładasz do jakiejś lepszej przyszłości. Dziś jest ponuro, ale jutro będzie lepiej, ta przemiana stanie się trochę sama, bez ludzi, z niczego, przez fatum. Oto wasz socjalizm.

— Wasz, Krystyno?

Zacisnęła wargi.

— Wasz.

Po chwili, głosem zmęczonym:

— Cóż chcesz, jestem teraz tylko panią domu. Boże, jaka nuda. Zażadam chyba od Ksawerego, abymy się na lato przenieśli do Warszawy, albo zacznie płakać. Obie ewentualności są ekscentryczne, nie na to jednak nie poradzę.

Było coś dziwnego w tej sprawie Krystyny i Ksawerego, coś niesamowitego. Tadeusz uważał, że mieli wszystkie dane, aby stanowić ciekawy ludzki zespół: oboje byli inteligentni — i różni. W Krystynie — nic z racjonalizmu, sama uczuciowość, może trochę prymitywna. Bardzo świeża, ani uncji wyrafinowania, wyrachowania. W miesiąc po ślubie wytwarzał się martwy punkt, pasowali się ze sobą, z przyzwyczajeniem, które nie chciało narosnąć. Nowy dzień niczego im nie przynosił, nic w nich nie zmienił. Wytwarzał się tryb kołowrotka, tożsamość, która tak dławiała Krystynę. I Ksawery z jego filozofią czekania na coś niewiadomego, nie obliczalnego, właściwie zupełnie bezradny. Nie pokazywał im się potem przez parę dni, przez parę dni wielkiego milczenia. Na Żarach było odludnie, służba mieszkała o parę kilometrów od folwarku. Ksawery tłumaczył, że tego się nie da uniknąć, bo na Żarach nie ma miejsca na czworaki. Co wieczór odchodzili z folwarku, bez śpiewów,

niemal bez rozmów. Rządca stał w bramie z psami u nóg i odprowadzał ich wzrokiem, nocni stróż w grubych kożuchach baranich, przecignięci rzemieńnymi paskami, przychodzili do kuchni i ćmili na ławie papierosy. Zapadał spokój.

Potem, któregoś dnia przed niedzielą, po południu, wpadła konno Krystyna. Zsunęła się z konia i gdy stanęła wśród grobli między stawami, nogi pod nią drżały. Wtedy dopiero Tadeusz zerwał się z ziemi, widział ją z daleka, gdy dojechała, przed domem, zatrzymała konia przed kuchnią, skinęła ko muś niewidzialnemu głową, zatoczyła koniem i próbowała puścić go w kłus. Koń czuł zimno stawów, chłód szmaragdowej wody i opierał się: zaledwie zmusiła go, żeby wszedł na groblę.

— Co się stało?

— Ach, nic. Tylko jestem zmęczona. Usiadła w tym miejscu gdzie stała. — Przywiąż go gdziekolwiek, o tam, przy mostku.

Usiadł przy niej i oparł jej rękę na kolanach. Próbowała nie płakać, usta się jej skęcały jak bibułka. Tłukła spiczrutą w trawę, patrzyła wprost przed siebie. Zaniekpokoił się.

— Miałas przykrości?

— Nie skądże... Tylko Ksawery jest niemożliwy. Wyobraź sobie, urządza ciągle jakieś seanse z tym wikarym z Leśnej, jeździ tam, teraz już codziennie.

— Przecież nie jesteś zazdrosna — zaryzykował z uśmiechem. Zaisie, nie widział powodu do tragedii.

Rzuciła się jak ryba w sieci. Gwałtowne wzruszenie ramion.

— Mówisz głupstwa. Chciałam z nim pojechać, powiedział mi, że muszą być wreszcie jakiejkolwiek miejsca, dokąd on sam jeździ, idzie... Że ciągle mnie czuje za sobą jak cień, jak kogoś, kto krępuje wszelką swobodę, nawet intelektualną. Nie rozumiem, po co było to wszystko...

— I o czym rozmawiają?

— Bo ja wiem? Ksawery wraca z Leśnej ponury jak noc, nie mam ochoty go pytać. Chciałam ciebie prosić, abys z nim porozmawiał. Do reszty obmierzy mi te Włuki, depeszowałam do Alexa, żeby przyjechał.

— Nie wiem czy to potrzebnie zrobiłaś? Znowu wzruszenie ramion.

— Zapewniam cię, że z takimi głupimi względami nie będę się liczyć.

— Co powie Ksawery, o ile Alex przyjedzie?

— Nie wiem. Pojedzie porozmawiać z księdzem Kabatą o nieśmiertelności duszy.

Tadeusz znalazł, że Krystyna nie chce rozmawiać na serio.

Interesowała go osoba wikarego, zapytał Krystynę, co może o nim powiedzieć.

— Niewiele... Ja jego nie znam prawie. Wiem, że proboszcz omawia z nim wszystkie sprawy domowe, od urodzajów poczynając... Chce z niego zrobić coś w rodzaju totumfac kiego. Wikary to znosi z pokorą i ze zdumieniem. Ale i ze spokojem. Odmiana świętego, ma twarz niesłychanie namiętną. Nie dziwiłabym się, gdyby się biczował. Ale oni zwykle zaczynają od innych. Dostaną u ciebie obiad?

— Na pewno.

Siedzieli przy stole we dwoje, rządyczni mnożyła gorliwość z minuty na minutę. Wystała z niesłychanym obiedem, przybrała znowu stół kwiatami, deser był nadzwyczajny: ciastka z konfiturami... „Na tym polu nie mogą stawać do konkurencji, każda kobieta mnie pobije w tym zakresie. Ale jedze nie mnie nigdy nie zajmowało“ — uśmiechnęła się Krystyna. Tadeusz miał sposobność, aby stwierdzić jak bardzo kobiety są niejednakowe, jak różny jest sposób ich oddziaływania. Krystyna przy tym stole nie była kim innym jak towarzyszem, dobrym towarzyszem. Powoli dostrzegł jak inny był klimat Danuty. Sam się tego przestraszył i jednocześnie odczuł bolesną radość, wciągało go w otchłań pałacu i bolesną to poczuć, że przy Danusi był w nim niepokój, niepokoje, z któregoś wedy nie zdawał sobie nawet spr

wy. W rozmowę z Krystyną, pomimo woli, poza świadomością, wnosil ton suchy, beznamiętny, konstatający. Potem, po obiedzie, wyciągnęła go na daleki spacer po lesie. Szedł za nią, już z góry zmęczony, przede wszystkim z poczuciem zobowiązania. Wybierała najgorsze wertepy, musiała przejść przez każde wzgórze, przez najgęstsze zarośla. Ciągnęła go za sobą przez zagajniki, zacerwieniona, trochę zdyszana, z twarzą omotaną pajęczynami, podrapana igłami. I ciągle jakby niedość zmęczona.

Czy dlatego ostatecznie nie wybrał się w niedzielę do Zapaśnik, aby uniknąć zmęczenia, aby zachować nietknięty spokój? Do ostatniej chwili nie wiedział, czy się wybierze. Nic prostszego, zamówić konie. Nie zamówił koni — pod tym wewnętrznym pozorem, że nie wolno mu dla własnej przyjemności zabierać komuś cennego wypoczynku, komuś przeszkadzać. Pogoda była świetna, za dobra, po prostu upał. Pozostawało rozstrzygnąć, czy można się było wybrać do Zapaśnik bez Alexa. Wtedy, tydzień temu, wydawało się Tadeuszowi rzeczą najłatwiejszą w świecie wstąpić po Alexa do Jadowic i tonem od niechcenia, jak na przejażdżkę, zabrać go do Zapaśnik. Gdyby nawet Alex przyjechał na pewno z Warszawy, gdyby był w Jadowicach, całe położenie się powikłało. Choćby z uwagi na depeszę Krystyny, nawet bez tej depeszy. Mogłoby być zdziwione, mógłby nie chcieć jechać. Iść samemu? Tu był ten najgorszy problem, problem obcych ludzi, których tam należało oczekiwać obok Danuty. Przede wszystkim rodzice, z ich domniemaną rzeczością — kto, po co, w jakim charakterze. Tego właściwie i Tadeusz nie wiedział, w jakim charakterze. Była mu potrzebna Danusia, sama Danuta, bez całego otoczenia. Był zły na siebie, że jej nie zaprosił na niedzielę na Żary. Nic prostszego było, zaprosić Danutę na Żary. Nie widział racji, aby iść do Zapaśnik, raczej, nie widział możliwości pójścia, sposobu pójścia. Ostatecznie, można by rzecz potraktować jako zwyczajne odwiedziny, zjeść tam obiad, wypić trochę wódki. Pomyślał, że dla Damiana cała sprawa byłaby pozbawiona aż tylu profiliów, dużo prostsza. Damian, był zły w ogóle na siebie, że go wspominał. „Co za idiota, ten Damian“ — osądził. Wreszcie, koło jedenastej, wyszedł z domu, zresztą bez najmniejszej determinacji, nie był pewien jak daleko dojedzie. Szedł bardzo powoli, z gołą głową, gwizdząc. Niedługo będą kwitły żyta. Kłosa były narazie fioletowe i gdy uderzył lekki wiatr, chyliły się, chwiałały, kołysały jak zapach fioletowej fały. A ja ra pszenica miała zgięte liście, jakby jeszcze za słabe, w pół przechylone, przelamane w sposób falisty, zwiślały jak wąskie wstęgi u wieńców. Stała u brzegu lasu nad drogą, zapadająca między drzewa. Spodem brzęczał strumień, ten sam, co przepływał pod Żarami, w dolinie leżała wieś, pełno uli, żółtych, niebieskich i czerwonych, błyszczało w słońcu koło chat. Na lewo, za zakrętem drogi, leśniczówka. Leśniczy z rodziną wracał z kościoła, bryczka zbliżała się do bramy w ostrokołe płotu. Spod kopyt wzbijał się obłok kurzawy. Tadeusz postanowił zawrócić. Wyjął zegarek — stanowczo było już za późno na ten spacer, męczący w słońcu, zresztą, co tam robić w tych Zapaśnikach. Stał jeszcze z pięć minut na wzgórzu, bezmyślnie patrząc ku chałupom, ku ulom, ku niebu, ku zielonym owocowym drzewom.

Po powrocie do domu ciągle to uczucie czegoś niedokonanego, poniechanego. Zaniedbania i może nawet skrzywdzenia. Minęło dopiero, gdy pod dom podjechała linijka. Wziął lejce, śmiesznie — jakoś po miejsku, po żydowsku — cmoknął na konie, wyjechał za bramę, koła tłukły się po wybojach. Koń szedł znowu, zaraz za lipami u wjazdu, stępa, Tadeusz nie miał odwagi przyspieszyć tempa. Jakby uległ niemiej perwersji, jakby uznał przewagę konia nad sobą. Dopiero za mostkiem machnął biczyskiem z wikliny (to był właściwie pręt, obszarpany na końcu, pozbawiony rzemienia; wydawał zabawny świst). Mijało się z prawej strony — szerszym objazdem leśniczówką. potem był niski wóz, nad wozem po prawej stronie był las. Z daleka niosło świeżą żywicę. Co pomyśli Danuta? Potem kapliczka przydrożna z jakimś złocącym się obrazem w głębi, pobielana na niebieskawy, falkowy kolor. I już aleja kasztanowa, jedno jeszcze wzgórze — Włuki, stodoły, śpiczrze, sad i dwór.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.
Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

RED. „DZIS I JUTRO”

Opinie p. Jakimiaka, zawarte w jego wypowiedziach na temat liberalizmu jako doktryny, nie zawsze sformułowane były z wdziękiem, tym niemniej odznaczały się ostrością myśli, głębią i rzeczowością. Oczywiście było, że p. Jakimiak rozpracował rzecz intelektualnie i sporo rozmyślał jej poświęcił. Tego samego nie można rzec o sądach księdza Lorensa, zamieszczonych w numerze 39-tym Panów poczytnego tygodnika.

Uderzającym, acz podskórnym elementem w tym ciekawym artykule jest kompletny totalitaryzm ujęć księdza - autora. „Liberalizm jest koncepcją katolicką, ale samym tylko liberalizmem się zachwycać — to jeszcze za mało... Już czas na coś bardziej katolickiego...” — aprobuje ksiądz Lorens słowa p. Jakimiaka. Tego rodzaju ujęcie ludzkość przypomina etapowość kilku charakterystycznych schematów politycznego myślenia. Tak jest zazwyczaj, że w pierwszych etapach liberalizm jest pewną atmosferą polityczno - społeczną, a która się walczy. Baczni obserwatorzy losów idei liberalnych od dawna już wiedzą, co kryje się na przedłużeniu takich apelów.

Aczkolwiek termin ten jest mi nader niemiły, lecz jedynie woła fanatyzmu kazał chyba księdzu Lorensowi uczynić z Kislewskiego zwolennika systemu planowania. Fakt, że Kislewski bierze zagadnienie planowości na warsztat, bada je, po czym dochodzi do wniosku, że stanowi ono na razie dla dialektyki katolickiej problem nierozwiązalny, nie określa jeszcze jego osobistego wyboru. Uwieranie zaś Kislewskiego w strój matadora planowania kulturalnego musi wzbudzić odruch zaprzeczenia wśród stałych czytelników jego felietonów.

Dwukrotnie w swym tekście zastrzega się ksiądz Lorens, że wszelcy, przeciwni jego rozumowaniu, dyskutanci mogą mu zarzucić „ciasnotę horyzontów i beztrojską ignorancję”, lecz on o to nie stoi. Mam wrażenie, że zarzuty takie byłyby fałszywe. Ksiądz Lorens widzi daleko i wie dużo, zaś żarliwa i głęboka wiara, która go cechuje, jest jedynie ceną zalet człowieka i obywatela we współczesnym rozumieniu liberalizmu. Współczesny liberalizm widzi w religii zupełnie zasadniczą siłę, jedną z decydujących w kształtowaniu współczesnego społeczeństwa i stąd płynnie aktualne zbliżenie środowisk myśli chrześcijańskiej i liberalnej. Nie wydaje mi się jednak, aby w takich wypadkach zapominanie o wzajemnym kompromisie, czy o wzajemnym poszanowaniu, należało do rzeczy pożądaných.

Z szacunkiem
 Leopold Tyrmand

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Prasa stołeczna i Polskie Radio zawiadomiły w ub. tygodniu o ekscesach w pow. Piotrkowskim przeciwko studentom, zwiędającym — zabytki kościołów i cmentarzy.
 Uważam, że „Dziś i Jutro” winno się wypowiedzieć w tej sprawie. Sprostować jeśli takie zajścia nie miały miejsca lub napiętnować nadużycia popełnione w imię obrony świętości. Proszę pamiętać, że nie sformułowane w porę awantury na tle religijnym mogą przerodzić się w walki religijne, co nie przyniesie korzyści ani narodowi, ani Kościołowi. Wybór psychologa katolicki ks. Lepert. T. J., tak o tym pisze w dziele p. t. „O człowieku religijnym” (str. 66 wiersz 18):

..... religijne błędy i zbrocenia starowia najokropniejszy rozdział całych jej (t. zn. ludzkości — przypisek mój) dziejów. Można by niemal twierdzić, że nie tyle nieszczęście i przekleństwa i zniszczenia na ludzkość nie sprowadziło co religia, przerodzona w obłąd i fanatyzm. Wojny

religijne i religijne prześladowania bywały zawsze najokropniejsze ze wszystkiego, co sobie ludzkość wzajemnie gotowała. A okaleczenia i wypaczenia jasnej ludzkiej istoty skutkiem religijnego obłądzenia przewyższają swą potwornością wszystkie obrazy dantejskiego piekła.”

Świat się podzielił na wrogie obozy. Katolicy winni mieć odwagę przy czynić się do utrwalenia pokoju, nie zaś do rozpętania wojny.

Wiem, że „Dziś i Jutro” działa na rzecz pokoju i dlatego wierzę, że w sposób poważny zajmie się tą sprawą.

Z szacunkiem
 J. Kamiński,
 Warszawa-Mokotów

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

W tygodniku „Dziś i Jutro” Nr 38/47 pani Janina Jaworska przeprowadza recenzję broszurki wydanej przez czasopismo „Moda i życie praktyczne” p. t. „Zwyczajne towarzyskie”.

Zgadzam się w zupełności z p. Jaworską co do wartości wydanej licznie broszurki. Mam jednak pewne zastrzeżenia, co do jednego punktu omawianego przez p. Jaworską, a mianowicie: czy kobieta samotna może zaprosić do siebie mężczyznę spotkanego na neutralnym gruncie — u znajomych, na wycieczkach, lokalach publicznych i t. p. Pani Jaworska w konkluzji zapytuje się: — „po co?” „Od pierwszego wejścia — „po co?” — „Te dwa pytania wymagają wprost odpowiedzi i szerszego nieco omówienia.”

Kobieta i mężczyzna, tych dwoje ludzi stworzonych do budowania ży-

cia we wszelkich jego przejawach, ze względu na różnicę płci posiadają również różne, czasami nawet odrębne kręgi zainteresowań. Kręgi te nie są jednak od siebie biegunowo oddalone, przeciwnie, leżą one na jednej płaszczyźnie, stykają się ze sobą, a nawet — zależnie od współzależności — zaciebiają się, jak np. w sprawach społecznych, politycznych, czy zawodowych, lub też pokrywają się po większej części, jak np. w małżeństwie.

Biorąc więc pod uwagę tę różnorodność, a jednocześnie wspólność zainteresowań, mogą odpowiedzieć p. Jaworskiej, że obecność mężczyzny w mieszkaniu samotnej kobiety może mieć cel bardzo różny i nie koniecznie musi obracać się w kręgu erotyki. Spotkanie zaś na neutralnym gruncie również nie może być przeszkodą wejścia mężczyzny do mieszkania samotnej kobiety, gdyż powstawanie różnych zagadnień może się odbyć podczas rozmów, czy dyskusji właśnie na gruncie neutralnym.

Formy towarzyskie obowiązują nas we wszystkich okolicznościach. Nie mogą one jednak stanowić przeszkody w wypadkach, jakie przytoczyłem powyżej. W pytaniach p. Jaworskiej zawarta jest myśl, jakoby obecność mężczyzny w mieszkaniu samotnej kobiety, prowadziła tylko do czegoś zrodzonego.

Czyni ludzkie w olbrzymiej większości zależne są od woli człowieka kierowanej przez rozum. Nadmierne ograniczanie tej woli przez różne formy nie tylko, że nie podnoszą godności człowieka, lecz przeciwnie, zaprzeczają niekiedy jego osobowości. Zastęgu zamknięcia grzechu przez zamknięcie mieszkania samotnej kobiety, należy przypisać — według tychże form — mechanizmowi tkwiącemu w ramie drzwiowej, a służącemu do zamykania tych drzwi, nie zaś tej kobiecie, która jako człowiek, ma przecież rozum i wolną wolę.

Niestety, nadmierne przywiązywanie wagi do różnych form naleciałych — nie raz z obcych stron na nasz grunt narodowy jest u nas wprost chorobliwe. Niektórzy nawet formom tym nadają znaczenie wprost

dogmatyczne i broniąc rzekomo przed złem, wkraczają nie raz za daleko. Bez analizowania faktów, bez wszechstronnego rozpatrzenia zagadnienia, w które wkraczają, a nawet bez jakiegokolwiek upoważnienia w oparciu tylko o formy, wyrażają innym przez swoje wkraczanie bolesne krzywdy. Słusznie też zauważa prof. Suchodoński w swoim artykule „O prawdzie” (Znak Nr 4), że — „najbardziej niebezpiecznym jest wielbić to, co jest dobre i nie równocześnie i najbardziej niesprawiedliwym jest potępiać to, co dobre i nie zarazem”.

St. Chmielewski,
 Różyca k Kuluszek

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Przesyłając w załączeniu wycinek z „PRZEKROJU” z recenzją Koźniewskiego z książki R. Vaillanda pt. „Dziwna Zabawa” prosiłbym o zamieszczenie go w rubryce czytelników.

Bo nad Koźniewskim warto się zastanowić. Ja osobiście sądzę, że potknął się wolno każdemu.

Ale też, że jeśli ktoś potyka się zbyt często, to... robi wrażenie (a może nie tylko wrażenie) kulawego.

Oto wycinek: „Człowiek lewicy wierzy w kolej żelazną, w samolot, w radio, w surowicę, która poskromi nieuleczalną chorobę i w szczepionkę, która przywróci młodość, w równość kobiety i mężczyzny, w porozumienie międzynarodowe, które położy kres wojnie. Człowiek lewicy wierzy w człowieka i nie zakreśla a priori granic jego potędy.

Człowiek prawicy wierzy w Boga, w fatum praw ekonomicznych, w piekło, w to że syfilis jest nieuleczalny, w wieczną kobiecość, w kłopotliwą ciężką na narodzie żydowskim i w nieuchronność wojny, w to, że zawsze będą „bogaci i biedni”, że marszałek (Petain) jest godzien szacunku i że Hitler jest niepokonany. Thiers, mówiąc o pierwszym kole żelaznej, że jest zabawką ku uciesze paryan, o której niezadługo nikt słowem nie wspomni, zachowywał się jak typowy człowiek prawicy...”

F I L M

Problem interpretacji filmowej powieści jest ogromnie zawiły. Stworzenie scenariusza i interpretacja na wszystkich szczeblach realizacji wymaga nie tylko znajomości środków ekspresji filmowej, ale poważnych studiów nad pisarzem, epoką i nade wszystko umiejętności trafnego zrozumienia dzieła, które przekłada się na tak odrębny od ekspresji literackiej język filmu. Scenariusz według powieści Dickensa „Życie i przygody Mikołaja Nickleby” stworzył John Dighton. Wydaje się, że swoje zadanie potraktował jednostronnie. Jego streszczenie powieści dickensowskiej jest skrótem fabuły, próba wiernego odtworzenia akcji, w którym wyczuwa się brak wyobraźni. Można by powiedzieć, że autor scenariusza nie przeżył powieści i przez to jego transpozycja filmowa jest beznamiętna; brak jej kongenialności.

Film zakłada jakby nieaktualność, staroświeckość Dickensa. Jest to przy wszystkich jego zaletach wielka wada scenariusza i błąd reżysera. Powieść Dickensa została nieświadomie potraktowana jak martwa, nieaktualna pozycja literacka.

Reżyser Cavalcahti, z przytępieniem wystylizował atmosferę lat trzydziestych dziewiętnastego wieku. Konsekwentne przeprowadzenie stylu epoki jest wielką zaletą tego filmu. W traktowaniu dekoracji, wnętrza strojów, epizodów charakterystycznych widać precyzyjną i niezawodną rękę znawcy. Wybór wykonawców wydaje się trafny. Szczególnie dobre kreacje stworzyli: Cedric Hardwicke w roli Ralfa Nickleby, Bernard Miles jako Noggs (próba teatralnej, ale trafnej interpretacji). Ujmująca, bardzo wdzięczna jest Sally Ann Howes w roli Kate Nickleby. Derek Bond jako Mikołaj, ma najtrudniejsze zadanie. Scenariusz nie pozwala mu stworzyć charakteru i dlatego jego gra nie jest zawsze przekonująca.

Bardzo dużą rolę odgrywa doskonały podkład muzyczny. Muzyka nie tylko podkreśla, ale w ogromnej części wręcz stwarza nastrój, równoważy sztywność i jakby dodaje ciepła.

Równocześnie w Warszawie oglądany „Zielone lata”, opracowane według tekstu Cronina, Amerykanie po macoszemu obeszlę się z problematyką powieści, nie stworzyli tak konsekwentnej i doskonałej trafnej próby ujęcia epoki, nie okazali dbałości o styl, ale dali parę wspaniałych i bardzo ładnych epizodów i kreacji aktorskich. W sumie film o mniejszej wartości artystycznej od angielskiego, mimo powierzchowności przemawia bardziej bezpośrednio.

Eksperyment sfilmowania Nicholas Nickleby można nazwać intelektualną, wierną precyzyjną, ale nie wspaniałą ilustracją.

Teksty polskie jak najgorsze. Z reguły nieskoordynowane z akcją filmu. Często zostają opuszczone ogniwa logiczne (nie wspominając już o groźbnych w rodzaju błędów ortograficznych).

W okresie „kiedy w Norymberdze sądzono zbrodniarzy niemieckich angielska publiczność śledziła z zaciekawieniem sprawozdania z procesu rodzimego zbrodniarza — amatora Heatha, Heath, który zdołał zamordować trzy kobiety, a policja przeszkodziła mu w zamordowaniu czwartej został stracony w tym samym dniu w którym tracono najwięcej niemieckich przestępców wojennych. Ta zbieżność dat nie była zbiegiem okoliczności, przeciwnie była całkowicie świadoma. Można by powiedzieć, że sprawa Heatha zaciążyła w jakiś sposób na produkcji filmowej angielskiej i gustach publiczności. W 1946 roku olbrzymim powodzeniem cieszył się film „Wanted For Murder”, który można by nazwać nieświadomą stylizacją dzie-

łów Heath'a. W wielu filmach anglosaskich bohaterami są psychopaci. W jednym, jak w „Siódmej zasłonie” problem jest postawiony i rozstrzygnięty bez dreszczyku sensacji, w innych, kiedy dotyka się sprawy zbrodni seksualnych wszystkich otoczone jest tajemniczością i poszukiwaniem tanich efektów.

Film angielski „Wakacje” należy do filmów rozrywkowych. Pokazuje życie różnych, przypadkowo zgromadzonych ludzi w wielkim obozie letniskowym. Zrezyjowany montaż jest największą i bodajże jedyną zaletą tego obrazu. Pomijając banalne konwerty i ogólną beztrojską atmosferę zostaje wprowadzony motyw morderstwa. Zbrodnia jest potraktowana w sposób typowo sensacyjny i tajemniczy. Prawdopodobnie angielski widz od razu rozumie to zabójstwo — dla naszej publiczności cały ten wątek filmu jest jak najbardziej niejasny. W polskiej wersji film pozostawia tym większe wątpliwości, że tłumaczenie tekstu gazety z opisem poprzedniej zbrodni owego młodzieńca jest pokazane krótko, a fakt zamordowania kobiety nie w celach rabunkowych polskiemu widzowi nie każe od razu weszły w mordercy nekrofila. Niemniej jednak niejasność motywów zabójstwa i celu zapraszania narzeczonej na samotną wycieczkę budzi niepokój i uderza. Jest dysonansem w tym prostym o niezawikłanej fabule filmie. Trudno zrozumieć, jakie walory spowodowały, że „Wakacje” dotarły na nasze ekrany. Film ten nie posiada żadnych wartości artystycznych, które by pozwalały zamknąć oczy na jego niezdrową atmosferę.

Kończącym epizodem jest zabójstwo szukającej męża postugaczki hotelowej. Program reasumuje to następująco: „Dzieją się tu rzeczy dość niecodzienne, absorbują one bez reszty bohaterów. Wszystko kończy się happy endem...”
 H. Leszcz

Powiecie, że określenie upraszczające! Zgoda, ale przytem jak trafne w zasadniczym ujęciu i jak uroczę w zestawieniach. Pierwszorzędna książka, jak mało, która celnie oddająca nastroje konspiratorów, którzy przecież nie tylko razem rzucali bomby, ale żyli ze sobą i filozofowali. Nie tylko we Francji, ale wszędzie.”

Koź.
 Z poważaniem
 W. Zubrzycki

Nadesłano

WYDAWNICTWO ZACHODNIE
 Juliusz Kolipiński — GRANICA
 POKOJU, 1948, str. 129.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
 Eliot Roosevelt — W JEGO O-CZACH, — WSPOMNIENIA, 1948, str. 234.

Henryk Sienkiewicz — W PUSTYNI I W PUSZCZY, okł. J. M. Szancer, str. 459.

WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA”
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
 Balzac — CHEŁPI, tłum. Boya-Żeleńskiego, okł. Wł. Piotrowski, 1948, str. 424.

Bogolebów M. — RADZIECKI SYSTEM FINANSOWY (Bibl. Prawników Demokratów), przekł. A. Szpakowicza, 1948, str. 104.

Bratny Roman — 15 BATALIONÓW — poczeje, okł. S. Bernacińskiego, str. 56.

Braun Andrzej — SZRAMY — poczeje, okł. S. Bernacińskiego, str. 64, 1948.

Brodzki Stanisław — PALESTYNA W WALCE O WOLNOŚĆ, str. 56.

Erenburg Ilija — UPADEK PARYŻA — powieść, przekł. Pawła Hertzka, okł. W. Daszewskiego, wyd. III, str. 480.

Katajew Walentin — SAMOTNY BIAŁY ŻAGIEL, pow. dla młodz., wyd. II, str. 300, okł. H. Tomaszewskiego.

Kautsky Karol — NAUKI EKONOMICZNE KAROLA MARKSA (Bibl. Socj. Nauk.), wyd. VII, (3), str. 256.

Kautsky Karol — TOMASZ MOORE I JEGO UTOPIA (Bibl. Socj. Nauk.), str. 336, z III wyd. niem., przekł. K. Bleszyński.

Krasicki Ignacy — MIKOŁAJA DOŚWIADCZYŃSKIEGO PRZY-PADKI, (Bibl. Pis. Pol. i obcych), wyd. II, str. 140, oprac. i wstęp St. Adamczewskiego.

Larsen Egon — SAMOŁOT TRANS ATLANTYCKI W CHMURACH, (Bibl. Popul. Nauk.), str. 64, tłum. St. Domańskiego.

Lenin Włodzimierz — IJICZ — KAROL MARKS, (Bibl. Ekon.), str. 140, przekł. E. Wasowicza.

Morozow A. W. — AKUMULACJA KAPITAŁU A ZUBOŻENIE PROLETARIATU, (Bibl. ekonom.), str. 104, tłum. Leona Schaffa.

Pogonowska Anna — WEZŁY — poczeje, str. 36, okł. S. Bernacińskiego.

Prus Bolesław — WYBÓR KRONIK I PISM PUBLICYSTYCZNYCH, (Bibl. pisarzy pol. i obcych), str. 202, oprac. i wstęp dra Zyg. Szwejkowskiego.

Rydewska Nina — GODZINA „W”, str. 200, okł. S. Bernacińskiego.

Zabłocki Franciszek — FIRCYK W ZALOTACH, (Bibl. Pol. i obcych), str. 112 + XVI, oprac. K. Czachowski, wstęp J. Z. Jakubowski.

GEBETHNER I WOLFF
 Ewa Szelburg-Zarembina — LUDZIE Z WOSKU, wyd. III, str. 286.

Włodzimierz Perzyński — KLEJNOTY, wyd. II, str. 475, okł. J. Tarnińskiego.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA”
 Howard Fast — OBYWATEL TOM PAINE, przekł. J. Karen, str. 303.

Michał Rusinek — CZŁOWIEK Z BRAMY, okł. M. Hiszpańskiej, str. 169.

J. Brończyk — GRECJA WALCZY 1944 — 1948 (w świetle dokumentów), str. 52, okł. A. Rudzińskiego.

DWAJ LEKARZE. DWAJ SPÓŁDZIELNICY, str. 39.
 Stanisław Ryszard Dobrowolski — JANOSIK Z TABACZKOWEJ, oprac. graf. M. Hiszpańskiej, str. 44.
 Andrzej Nowicki — WŁOCHY 1943 — 1948, okł. A. Rudzińskiego, str. 121.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński.
 Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.
 Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30
 Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne
 Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.
 B-63314